



*Kim Lawrence*



*Pod niebem Toskanii*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Powiew wiatru uniósł spódnicę Diany, gdy śmigłowiec z ich gośćmi wzbił się w powietrze. Jej mąż - musiały minąć trzy miesiące, zanim była w stanie tak go nazywać, nawet w myślach - zaśmiał się. Z błyskiem rozbawienia w ciemnych oczach obserwował jej gorączkowe wysiłki, by obciągnąć materiał na udach.

Rzuciła mu niechętne spojrzenie. Drżały jej ręce, gdy próbowała przyglądać potargane rude włosy. Nie było to łatwe zadanie - loki, nasuwające na myśl portrety prerafaelitów, były wyjątkowo nieposłuszne.

Mąż nie próbował nawet uporządkować zmierzwionej, ciemnej czupryny, ale i tak wyglądał wspaniale.

Cudowny, ekscytujący śródziemnomorski koloryt, mroczna twarz upadłego anioła i wysoka, muskularna sylwetka - Gianfranco Bruni po prostu musiał wyglądać wspaniale!

Gianfranco uniósł ciemną brew i spojrzał na Dianę, wyginając wargi w kpiącym półuśmiechu.

- Co ma znaczyć ten tajemniczy uśmieszek, *cara mia*?

Zadrżała, gdy obrysował kontur jej ust czubkiem palca, i uniosła ku niemu twarz. Wtuliła zarumieniony policzek w zagłębienie jego dłoni i spojrzała na męża przez rzęsy, zachwycając się idealną symetrią kości policzkowych, ciemnym aksamitem oczu, zmysłowym wykrojem ust.

- Po prostu od czasu do czasu muszę się uszczypnąć. To wszystko wydaje się takie nierealne.

Delikatnie zarysowane brwi Gianfranca zbiegły się.

- I posiniaczyć taką nieskazitelną skórę?

Przełknęła ślinę - stłumiony żar w jego ciemnych oczach sprawił, że żołądek podjechał jej do gardła, a serce zaczęło bić gwałtownie.

- Nie mogę zebrać myśli, kiedy tak na mnie patrzysz, no i mamy gościa - za-

protestowała.

Jej serce zamarło na chwilę, kiedy błysnął białymi zębami w szelmowskim uśmiechu, pogłębiającym seksowne zmarszczki wokół ciemnych, zuchwałych oczu.

- Carle? - Zachmurzył się i wymownie wzruszył ramionami. - Nie rozumiem, dlaczego ją zaprosiłaś. Ten weekend miał być przeznaczony na odświeżenie kontaktów z Angelem i Kate.

Diana wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem.

- Ja ją zaprosiłam?

Gianfranco nie tylko sam wystosował zaproszenie do tej atrakcyjnej brunetki, ale zapomniał nawet wspomnieć o tym żonie!

Więc gdy ta kobieta pojawiła się, wymuskana jak zwykle, z nieprawdopodobną ilością bagażu - zdaniem Diany bardziej stosowną w przypadku dwumiesięcznego rejsu luksusowym statkiem niż zwykłego weekendu na wsi - musiała zareagować szybko i udawać, że wie o wszystkim.

Gianfranco też nie ułatwił jej tej sytuacji, kiedy ociekając wodą, wydzwignął się na rękach z basenu i stanął twarzą w twarz z kobietą, obserwującą go zza szkieł markowych ciemnych okularów.

Jego „Co tu robisz, Carlo?” raczej nie kojarzyło się z życzliwym przywitaniem.

Właściwie powiedział to po włosku, ale Diana na tyle opanowała ten język, że mogła wyłapać sens nawet szybkiej rozmowy. Wątpiła, by zdołała przyswoić sobie właściwy akcent, Gianfranco jednak przysięgał, że jej akcent jest wyjątkowo seksowny.

Niezupełnie mu wierzyła, ale pochlebiało jej, gdy słyszała, że jest seksowna.

- Wiem, że się przyjaźnicie, ale czasami chciałbym mieć żonę tylko dla siebie.

- Przyjaźnicie?

Dianę ogarnęło poczucie winy. Powinna uważać kuzynkę Gianfranca za przyjaciółkę; od chwili, gdy się pojawiła, zadawała sobie wiele trudu, aby Diana

czuła się jak u siebie.

Gdyby nie taktowne sugestie Carli, popełniłaby wiele niezręczności. Prawdę mówiąc, i tak je popełniła, ale dlatego tylko, że nie zawsze akceptowała jej dobre rady.

To Carla udzieliła jej wyjaśnień na temat pięknej i ponętnej młodej kobiety, klejącej się do Gianfranca w tańcu, podczas gdy wszyscy, których o nią pytała, zmieniali temat lub udawali nieświadomych.

Carla wyjaśniła, że blondynka i Gianfranco romansowali ze sobą od czasu do czasu. Wyglądało na to, że wracali do siebie, kiedy to obojgu było wygodne.

- W gruncie rzeczy to bardziej przyzwyczajenie niż prawdziwy związek - zbagatelizowała sprawę Włoszka.

I jedynie Carla nie zamykała się w sobie na wspomnienie Sary, pierwszej żony Gianfranca i matki jego syna.

- Uwielbiał ją - wyznała, kiedy weszła do pokoju i zobaczyła, że Diana przygląda się oprawionemu w ramy portretowi, wykonanemu przez sławnego fotografa.

Przedstawiał on nowo narodzonego Alberta w ramionach matki, wyglądającej jak promienna i łagodna Madonna.

Nie było to nic nowego, ale i tak Dianę ogarnęło przygnębienie.

Gdyby tu, we Włoszech, mogła uznać kogoś za przyjaciela, musiałaby to być Carla. A jednak nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie wytwornej Włoszki.

- Powinniśmy wrócić do domu. Carla została sama. - Przygryzła wargę i skrzywiła się. - Mam wrażenie, że trochę ją zaniedbaliśmy w ten weekend - stwierdziła z poczuciem winy.

Jak tylko Angelo i Kate przyjechali, mężczyźni zmienili garnitury na dżinsy i T-shirty i wyruszyli konno w góry. Całkiem zrozumiałe, że będąca w zaawansowanej ciąży żona Angela nie była w stanie poruszać innych tematów poza ciążą i porodem.

- Carla nie jest typem kobiety, która dobrze czuje się w towarzystwie innych

kobiet - zastanowiła się głośno Diana. - No i zdecydowanie nie przepada za rozmowami o dzieciach - dorzuciła, wspominając nieobecny wzrok Włoszki i jej częste ziewnięcia.

Gianfranco zahaczył kciuki o szlufki džinsów i mrużąc oczy, zapatrzył się na krajobraz doliny, potem przyciągnął do siebie Dianę i skierował się na ścieżkę pomiędzy drzewami, wiodącą do domu.

- Ale tobie to nie przeszkadza? - Zerknął na nią, osłaniając oczy czarnymi rękawami, by zamaskować uczucie kryjące się w ich głębi. - Te wszystkie rozmowy o dzieciach?

Diany nie zmylił jego niedbały ton, wiedziała, nad czym się zastanawiał.

Czy przebywanie w towarzystwie ciężarnej i rozpromienionej Kate nie przypomina jej boleśnie o własnej bezpłodności? Czy nie rozpacza, że nigdy nie urodzi dziecka ukochanemu mężczyźnie?

Gdyby mogła odpowiedzieć szczerze na to pytanie - a nigdy tego nie robiła, nawet w myślach - odpowiedź musiałaby brzmieć „tak”. Albo brzmiałaby tak dawniej, ale - odpukać - sytuacja się zmieniła. Ogarnęło ją podniecenie; szybko opuściła powieki, bo była pewna, że zauważyłby jaśniejącą w jej oczach nadzieję.

A to nie była odpowiednia chwila.

Nie chciała, by jej przeszkadzano, gdy będzie zdradzać Gianfrancowi swoją nowinę, a kuzynka Carla miała talent do wchodzenia do pokoju w najmniej odpowiednim momencie!

- Oczywiście.

Ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz.

Poruszyła się niespokojnie pod jego uważnym spojrzeniem, ale nie spuściła wzroku. Po chwili skinął głową, najwyraźniej zadowolony z tego, co zobaczył w jej twarzy.

Odczuła zaskoczenie i ulgę - zwykle nie można go było zadowolić nawet półprawdą.

- Biedna Carla - powiedziała, gdy opuścił dłoń. - Nie sędzę, by pogodziła się z faktem, że służba ma wolny weekend i że ty i Angelo zajmujecie się gotowaniem. Chyba uważa, że to poniżej waszej godności.

Dawniej sama mogła tak uważać, kiedy o miliarderze Gianfranco Brunim, światowcu i bezwzględny finansjście, wiedziała tyle, ile przeczytała w nagłówkach gazet. Nie chodziło o to, że był człowiekiem, o którym z szacunkiem, podziwem, a czasem i lękiem donosiły finansowe kolumny, ale był kimś więcej. O wiele więcej.

Człowiekiem skomplikowanym, wielowymiarowym. Całego życia nie starczy, by go zrozumieć.

- Nie mam ochoty dyskutować o Carli - oznajmił jej skomplikowany małżonek i strzelił lekceważąco palcami.

Następnie skupił całą uwagę na żonie.

Na widok płonącego w jego oczach pożądania temperatura Diany podskoczyła o kilka stopni w czasie wystarczającym na jedno uderzenie serca.

- Carla... - wykrztusiła, z trudem starając się zachować przytomność umysłu.

Gianfranco tylko uśmiechnął się. Była w stanie wybaczyć mu, że zrobił z niej bezmyślną niewolnicę pożądania, bo - o dziwo - w ten sam sposób oddziaływała na niego. Pomimo rudych włosów, piegów i tak dalej. Ten człowiek miał przedziwny gust, ale czyż mogła z nim dyskutować...?

Nadal wpatrując się w oczy żony, Gianfranco przesunął w dół dłoń, musnął kostkami palców kontur jej piersi, zanim otoczył ją palcami i wypełnił dłoń jej ciepłem.

- Wiesz, jak bardzo cię pragnę?

Poczuł, że zadrżała. Kiedy uniosła powieki i spojrzała na niego, jej oczy były mroczone i zamglone, ich zieleń niemal całkowicie zakryły rozszerzone źrenice.

- Gianfranco, nie powinniśmy... - wyszeptała, jednocześnie myśląc: Jeśli tego nie zrobimy, uschnę.



- Powinniśmy. - Przycisnął gorące wargi do jej ust. - Wiesz, jak wspaniale smakujesz? - Zaczął obrysowywać kontur jej twarzy, niemal nie dotykając końcami palców skóry. - Nie mogę przetrwać dnia bez zapachu twojego ciała, bez widoku twojej twarzy, bez dotykania cię...

Pragnęła, by powiedzieć mu „kocham cię”, ale powstrzymała zakazane słowa i szepnęła:

- Pokaż, jak bardzo mnie pragniesz.

Zobaczyła płomień w oczach męża, wspięła się na palce i lekko musnęła wargami jego usta. Gdy zaczęła się odsuwać, wpił się w jej usta. Całował, jak gdyby czerpał z niej życie.

Osunęli się na pokrytą mchem ziemię.

Wyciągnięty leniwie na mchu, z dłonią wsuniętą pod głowę, Gianfranco obserwował żonę, która zaczęła się ubierać. Balansując na jednej nodze, z rękami na plecach, Diana walczyła niezręcznie z zapięciem biustonosza.

- Mógłbyś mi pomóc.

- Jestem ekspertem od zdejmowania bielizny. Poza tym nie potrzebujesz tej części garderoby, choć jest bardzo ładna - przyznał. - Wolę, kiedy jesteś swobodna i niczym nieskrępowana, zwłaszcza pod jedwabną bluzką.

- Chcesz powiedzieć, że jestem płaska - parsknęła, udając urażoną i wyrwała mu bluzkę z ręki.

Właściwie małżeństwo z nim wyleczyło Dianę z kompleksów na punkcie jej ciała; rozkoszował się nim i nauczył ją, jak to robić.

Zaśmiał się.

- Nie powiedziałbym! Doskonale pasujesz do moich dłoni - przypomniał, wyciągając rękę i poruszając sugestywnie palcami, jakby chciał jej to zademonstrować.

Odwróciła szybko głowę, ale zdążył zobaczyć ognisty rumieniec na jej policzkach. Uśmiechnął się szeroko na myśl, że mogła się rumienić, gdy czuł jeszcze

jej smak na swoich wargach, kiedy znał każdy cal jej ciała lepiej od własnego.

- Rumienisz się.

Odrzuciła w tył rude włosy; opadały w nieposłusznych lokach na jej ramiona, gdy zapinała spódnicę.

- Po prostu lubisz mnie dręczyć - zaatakowała z wyrzutem.

Jego spojrzenie ześliznęło się na gładki dekolt Diany. Odgarnął dłonią jej włosy, potem złożył gorący, długi pocałunek na rozchylonych wargach.

- I całkiem słusznie - powiedział - bo i ty mnie dręczysz.

To była prawda, bo choć jego pożądanie nie domagało się już tak gwałtownie zaspokojenia, pojawiała się, ilekroć na nią spojrzał albo choćby nawet pomyślał. Dawniej niczego podobnego nie odczuwał.

- O czym myślisz? - spytał, obserwując jej twarz z denerwującym skupieniem. Zawsze miała wtedy wrażenie, że mógłby czytać w jej myślach.

Potrząsnęła głową.

- Tak sobie rozważałam... Po prostu to wszystko...

Wymownym ruchem szczupłego ramienia wskazała toskański krajobraz, faliste wzgórza nakrapiane oliwkowymi zagajnikami oraz starannie i z wielkim nakładem kosztów odrestaurowane *palazzo*. Należało do jego rodziny od piętnastego wieku - z wyjątkiem kilku lat, gdy ojciec Gianfranca przegrał je w pokera.

Rok temu życie było o wiele prostsze. Była pielęgniarką, filozoficznie odnoszącą się do faktu, że nie może nawet marzyć o własnym mieszkanku w Londynie.

Teraz jest panią tej rozległej posiadłości i kilku innych luksusowych domów w Europie, wliczając w to londyński dom w stylu georgiańskim z nieodzownym basenem oraz kompleksem rekreacyjnym. I żoną tego wpływowego, zagadkowego mężczyzny, który zarobił miliardy, pozwalające to wszystko utrzymać.

- To takie odległe od mojego dawnego życia.

W ciągu roku zaszło tyle zmian, że czasem, gdy przelotnie zobaczyła się w lustrze, z trudem rozpoznawała widoczną w nim kobietę. I nie chodziło tylko o



markowe ubrania. Zmiany były o wiele głębsze.

W gruncie rzeczy nie miała wielkiego wyboru. Musiała się dostosować, kiedy nagle znalazła się w całkowicie obcym środowisku, wyrwana dramatycznie z warunków, zapewniających jej komfort psychiczny. Aby sobie poradzić, musiała zdobyć nowe umiejętności.

No i została macochą.

Lekka zmarszczka pojawiła się pomiędzy jej brwiami, gdy pomyślała o uwielbianym pasierbie.

To mogło być najtrudniejsze wyzwanie, gdyby Alberto zdradzał choć cień niechęci do swojej macochy. Albo gdyby Gianfranco nie okazał jasno przy jedynej okazji, gdy znalazła się pośrodku sprzeczki między ojcem i synem, że w sprawach potomka on podejmuje wszystkie decyzje.

- Dzieci - oznajmił, najwidoczniej nie zdając sobie sprawy, że ją tym uraził - potrzebują stabilności.

- Chcesz powiedzieć, że dzieci to element stały, a żony - tymczasowy.

W jego nieustępliwym spojrzeniu pojawiła się irytacja, gdy odpowiedział jej chłodno.

- Jeśli chcesz to sformułować w ten sposób...

Wzruszył niezdolnie ramionami. Zabolało ją to tak, że wymknęła się jej nieostrożna - wiedziała o tym w chwili, gdy te słowa padły z jej ust - aluzja do pierwszej żony.

- Nie sądzę, żebyś powiedział matce Alberta, gdy się jej oświadczałeś, że ten związek nie będzie trwał wiecznie?

Twarz mu zlodowaciała, wydawał się surowy i chłodny.

- Moje małżeństwo z Sarą nie ma z tym związku. Nie ożeniłem się z tobą, żeby dać Albertowi matkę.

- Czasem zastanawiam się, dlaczego w ogóle się ze mną ożeniłeś...

- Poślubiłem cię, bo nie mogłem myśleć logicznie, nie mając cię obok, bo nie

będę się tobą dzielić z innym mężczyzną.

Ani słowa o miłości, ale pocałował ją i powiedziała sobie, że to jej nie obchodzi. A jakieś trzy sekundy później przestała zupełnie myśleć.

Westchnęła. Tak działo się zawsze, ilekroć Gianfranco jej dotykał. Duma i zasady ulatniały się. Dlatego została żoną człowieka, który nigdy nie udawał, że ją kocha, choć przez ułamek sekundy - gdy się oświadczał - taka możliwość przemknęła jej przez myśl.

- Ale ty prawie mnie nie znasz! - zaprotestowała. - Trzeba czasu, by się zakochać, i...

Przeniosła zaskoczone spojrzenie na szczupłą, przystojną twarz mężczyzny i pomyślała „Naprawdę cię kocham”. Z jej rozchylonych ust wyrwało się rozedrgane westchnienie. Uśmiech pełen zdumienia i radości rozjaśnił jej twarz. Zobaczyła, że Gianfranco też się uśmiecha, ale uśmiech wykrzywił jego usta w cynicznym grymasie, a w oczach pojawił się niezwykle chłód.

- Nie szukam miłości.

Uśmiech zastygł na jej twarzy, ale oczy traciły blask, gdy ciągnął swoje wyjaśnienie.

- Jeśli coś takiego w ogóle istnieje...?

- Rozumiem, że w to nie wierzysz.

Uniósł ciemną brew i uśmiechnął się ironicznie.

- Poza światem bajek? Wiesz, ile małżeństw trwa dłużej niż kilka lat?

- Więc kiedy mówisz „na dobre i na złe”, czy to znaczy „dopóki fałszywy połysk nie zblednie” lub „dopóki nie nawinie się coś lepszego”?

- A ty uważasz, że szlachetniej i odważniej jest podtrzymywać małżeństwo z poczucia obowiązku? - Wykrzywił usta i potrząsnął głową. - To nie jest szlachetność. W najlepszym razie - przyzwyczajenie, w najgorszym - lenistwo i strach. Jestem realistą. Wolałabyś, żebym recytował banały, że przeznaczone jest nam być razem przez całą wieczność?

- Są tacy ludzie. Moi rodzice byli małżeństwem od trzydziestu pięciu lat, gdy zginęli.

- W wypadku?

- Autokar, którym podróżowali, rozbił centralną barierkę na autostradzie i zderzył się z ciężarówką jadącą w przeciwnym kierunku. Zginęło dziesięć osób, w tym moi rodzice.

- Ile miałaś lat?

- Osiemnaście, byłam na pierwszym roku studiów pielęgniarских.

- Bardzo mi przykro. Cieszę się, że małżeństwo twoich rodziców było szczęśliwe, ale nie potrafię przewidywać przyszłości. Nie mam pojęcia, co będę czuł za pięć, dziesięć lat, ale wiem, co czuję teraz. Teraz - powiedział głosem, który wprawił w drżenie każdy nerw w jej ciele - teraz cię pragnę.

To było rok temu, a on nadal jej pragnął i wszystkie plany, o których wspominał, obejmowały i ją.

A co zrobi, kiedy to się zmieni? Ze strachu ścisnęło ją w środku; z cichym okrzykiem odwróciła się i wtuliła twarz w pierś Gianfranca.

- Jestem szczęśliwa! - rzuciła z wyzwaniem.

- Szczęśliwa?

Poczuła dłonie męża na swoich ramionach i z zamkniętymi oczami mocniej wtuliła się w niego.

- Tak, jestem szczęśliwa.

Każdy ma swój przepis na szczęście, ale wiedziała, że jej przepis zawiera jeden ważny składnik. Gianfranco. I dlatego powiedziała „tak”, gdy się jej oświadczył.

Oderwał jej twarz od swej koszuli. Jedna wielka dłoń ujęła z boku jej twarz, druga zatopiła się w gęste, jedwabiste kędziory na karku, gdy uważnie się jej przyglądał.

Przypomniawszy sobie, jak wyglądała, kiedy mówiła, że nie może za niego wyjść,

ponieważ nie będzie miała dzieci. Widział wdzięczność w oczach Diany, kiedy zapewnił ją, że jemu to nie przeszkadza. Najwyraźniej nie uwierzyła w ani jedno słowo, ale w gruncie rzeczy nie próbował rozproszyć jej wiary w jego szlachetność.

Wbrew temu, co sądziła, nie było to z jego strony poświęcenie. Gdy opowiedziała mu o swej tragedii, jego pierwszą reakcją była ulga!

Ulga, że nigdy nie będzie musiał przeprowadzić koszmarnej rozmowy - w której musiałby odgrzebywać dawne błędy.

- Szczęśliwa? - rzucił żartobliwie, ocierając kciukiem migotliwą łzę spływającą po jej policzku. - To jest łza radości?

Nie odpowiedziała. Pochyliła tylko głowę i spytała:

- A ty jesteś szczęśliwy?

- Co to jest szczęście?

Zobaczyła na jego twarzy przeblysł rozdrażnienia i pomyślała: Gdybyś był szczęśliwy, nie musiałbyś zadawać tego pytania.

- Byłbym szczęśliwszy - stwierdził, biorąc ją za rękę - gdyby Carla postanowiła wrócić do domu wieczorem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Życzenie Gianfranca nie spełniło się.

Kiedy wrócili do domu, Carla, ubrana w pokryty cekinami kostium kąpielowy, najwidoczniej przeznaczony bardziej do eksponowania idealnego ciała niż pływania w basenie, spytała Gianfranca, czy dałby się uprosić i zabrał ją ze sobą helikopterem następnego ranka.

- Myślałem, że masz jakieś pilne sprawy do załatwienia.

- Nie, jestem cała do twojej dyspozycji - odpowiedziała, najwyraźniej nie zauważając oczywistej sugestii. - A służba już wróciła, więc nie musisz chować się w kuchni. Obaj jesteście dziwakami - mruknęła, potrząsając głową, potem z pięknym uśmiechem poprosiła Gianfranca, by posmarował jej plecy kremem z filtrem.

Diana zeszywniała, instynktownie zacisnęła pięści, gdy zobaczyła w myślach dłoń Gianfranca na rozgrzanej, gładkiej skórze tamtej kobiety.

- Nie sądzę, by groziło ci poparzenie, Carlo. Jest wpół do siódmej.

Diana rzuciła Carli blady uśmiech i podążyła za mężem do środka.

- Nie bądź taki niegrzeczny dla Carli - syknęła.

Uniósł brew.

- Chcesz, żebym smarował kremem inną kobietę? Nie sądzę. Widziałem twoją twarz. Wepchnęłabyś ją do basenu, gdybym spróbował. - Nie sprawiał wrażenia niezadowolonego z tego powodu.

Policzki Diany pokryły się rumieńcem.

- Nie, wepchnęłabym do basenu ciebie, ale Carla taka już jest ... Nie miała nic złego na myśli. Ona zachowuje się tak wobec wszystkich mężczyzn.

Skrzywił się z niesmakiem.

- Masz na myśli, że podrywa wszystkich.

Otworzyła szeroko oczy. Przycisnęła dłoń do brzucha, bo nagle poczuła mdłości.

- Ona nigdy... nie próbowała poderwać ciebie, prawda?
- Dżentelmen nie mówi o takich sprawach.
- No to możesz spokojnie rozpuścić język.

Gianfranco odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

- Ona naprawdę nie jest w moim typie, *cara* - zapewniał, unosząc dłonie, by pogłaskać Dianę po policzku. - I nie musisz martwić się o jej uczucia. Jest grubo-skórna jak nosorożec. O ile nie wskażemy jej drzwi, jesteśmy na nią skazani aż do jutra. Sądzę, że musimy po prostu robić dobrą minę do złej gry.

Podczas kolacji Gianfranco nie okazywał specjalnie chęci, by dostosować się do własnej rady, więc na Dianę spadł obowiązek uśmiechania się.

Zanim Włoszka dotarła do połowy rozwlekłego opisu sław, o które otarła się podczas aukcji na cele dobroczynne, Dianę rozbolewały mięśnie twarzy od nieustannego wysiłku.

- Wspomniałam już, że rozmawiałam z księciem? To czarujący człowiek.

Zanim Diana zdążyła przywołać na twarz wyraz uprzejmego zainteresowania, Gianfranco wtrącił sucho:

- Tak, wspomniałaś... kilkakrotnie.

Diana rzuciła mężowi ostrzegawcze spojrzenia zza rzęs i spytała pogodnie:

- Carlo, jesteś pewna, że nie masz ochoty na kawałek cytrynowej tarty?

- Nie, nie, ja dbam o linię! - Włoszka obrzuciła drugi kawałek tarty na talerzu Diany spojrzeniem sugerującym, że i ona powinna robić to samo. - Ale czy mogłabyś pożyczyć mi swego męża na kilka chwil? Takie nudne sprawy finansowe... - Zerknęła pytająco na Gianfranca. - Jeśli to nie sprawi ci kłopotu...?

Zapadło milczenie i przez koszmarną chwilę Diana sądziła, że Gianfranco ma zamiar odpowiedzieć: „Tak, sprawi mi to kłopot”. Jednak wstał, a jego postawa bardziej sugerowała rezygnację niż skwapliwość.

- Czy to pilne?

- Cóż, prawdopodobnie ty byś tak tego nie określił, ale ja się denerwuję.



- Zechcesz przejść do gabinetu?

Zwrócił pytające spojrzenie na Dianę.

- Ja poczekam tutaj.

Carla wygładziła na biodrach nieskazitelnie leżącą spódnicę i poklepała Dianę po ręce.

- Nie martw się, zajmuję mu tylko parę minut.

Te parę minut przeciągnęło się w godzinę; przez ten czas Diana siedziała samotnie przy stole, popijając kawę. Kiedy pojawiła się pokojówka, Diana podziękowała za dolewkę i z uśmiechem poinformowała dziewczynę, że może już sprzątać ze stołu.

Mijając drzwi gabinetu Gianfranca, głośno poinformowała męża o zamiarze udania się na spoczynek, zanim jednak to zrobiła, usłyszała wybuch wielce rozba-  
wionego śmiechu.

- Za chwilę przyjdę! - odkrzyknął Gianfranco.

Okazało się, że jego poczucie czasu nie jest lepsze od Carli. Była już północ, gdy wreszcie zjawił się w sypialni. Słyszając jego kroki w korytarzu, Diana wskoczyła do łóżka, porywając po drodze czasopismo ze stolika.

- Czego chciała?

Zdawała sobie sprawę, że w sytuacji takiej jak ta łatwo o posądzenie, że jest zazdrosna. Starła się więc, by wyglądało, że nie jest zbyt zainteresowana odpowiedzią Gianfranca. i

Prawdę mówiąc, minioną godzinę spędziła, chodząc tam i z powrotem, i bez przerwy zerkała na wskazówki zegara. Nie żeby była zazdrosna o Carlę. Miała pewność, że Gianfranco nie myślał o Włoszce w ten sposób, ale łączyła ich przeszłość, wspomnienia, których ona z nimi nie dzieliła. Carla była bliską przyjaciółką matki Alberta, Sary.

Gianfranco parsknął z irytacją.

- Takie tam historie z udziałami, nic naglącego. - Nie dało się tego powiedzieć

o jego pragnieniu, by znaleźć się z żoną w łóżku. - W końcu - powiedział, zbliżając się do łóżka, na którym siedziała, otaczając kolana ramionami - mam cię tylko dla siebie.

Przechyliła głowę i przypomniała mu:

- Ten weekend to był twój pomysł.

- To był zły pomysł. - Rozpinając koszulę, usiadł obok żony. Sięgnął po leżące między nimi czasopismo. Zauważyła kątem oka okładkę i próbowała mu je odebrać. - Co takiego czytasz, że nie chcesz, żebym to zobaczył?

- To nic, nic, oddaj mi je, Gianfranco.

Słyszając niepokój w jej głosie, zmarszczył brwi.

Odchylił się, trzymając czasopismo w ręce i odwrócił je. Przekorny uśmiech znikł z jego twarzy. To było czasopismo medyczne.

Diana westchnęła.

- Och, w porządku, nie chciałam ci powiedzieć w ten sposób, ale lekarz zasugerował, żebym przeczytała ten artykuł...

- Artykuł?

Spojrzał na czasopismo. Na okładce podano spis treści, łącznie z ostatnimi badaniami poświęconymi nowemu leкови na raka piersi.

Jego umysł w ułamku sekundy wyciągnął przerażający wniosek. Miał wrażenie, że lodowata dłoń zacisnęła się wokół jego serca.

- Co się stało? - spytał, mówiąc sobie w duchu, że jego uczucia nie są ważne, że chodzi tu o Dianę i że względu na nią powinien być silny i myśleć pozytywnie.

Jej spojrzenie prześliznęło się w bok, rzęsy musnęły gładkie policzki, gdy odwróciła głowę.

- Nic. Nic złego.

Ujął ją za brodę i zwrócił ku sobie twarzą, przysuwając się bliżej.

- Słuchaj, cokolwiek to jest, stawimy temu czoło razem... Zawsze jest nadzieja... ciągle wynajdują nowe leki na... - Urwał i wziął głęboki oddech... - Rak to tyl-

ko słowo.

Otworzyła szeroko oczy.

- Nie, to nic podobnego, Gianfranco. Daję słowo, nie jestem chora.

- Nie jesteś?

Kiedy zdecydowanie potrząsnęła głową, westchnął przeciągle i przygarbił się. Nigdy nie odczuwał takiej ulgi.

- Jesteś pewna?

Ujęła go za ręce, podniosła się na kolana i potarła nosem o jego nos.

- Całkowicie.

Przyciągnął ją szarpnięciem ku sobie i pocałował mocno jej miękkie, rozchyłone wargi.

- Jeśli jeszcze raz zrobisz mi coś takiego - powiedział, gdy wreszcie ją puścił - to cię uduszę. Rozumiesz?

Skinęła głową.

- Rozumiem.

- No więc, skoro ustaliliśmy, że mi nie umierasz - pomimo lekkiego tonu musiał wsunąć ręce do kieszeni, by ukryć fakt, że nadal drżały - dlaczego to czytasz?

Popatrzyła na niego przez rzęsy, w zielonych oczach rozbłysły ogniki tłumionego podniecenia.

- Przeczytaj to - zaproponowała, otwierając czasopismo i wskazując palcem stronę, zanim podała je mężowi.

Pobieżne przejrzanie artykułu nie zabrało mu wiele czasu. Kiedy skończył, zamknął czasopismo i odłożył na łóżko. W artykule omawiano współczynnik sukcesu najnowszej kuracji przeciwko niepłodności; jak sugerowano, dawała ona nadzieje kobietom, które wcześniej jej nie miały.

- I co? - spytała z podnieceniem. - Co o tym sądzisz? Szukają odpowiednich kandydatek do następnych badań klinicznych. Wiem, że nie ma gwarancji, ale...

Przerwał jej.

- To z tego powodu doprowadziłaś się do takiego stanu? - Kręcąc głową, wyciągnął do niej ramiona; wtuliła się w nie chętnie, ciepła i miękka. Przytulił ją, wplatając palce w lśniące, słodko pachnące włosy. Przycisnął jej głowę do serca i przypomniał: - Zanim się pobraliśmy, powiedziałem, że nie chcę mieć dzieci.

- Wiem, co powiedziałeś, i to było bardzo miłe...

- To prawda.

Odsunęła się i uniosła ku niemu twarz. Marszcząc czoło, niecierpliwie otarła grzbietem dłoni pojedynczą łzę spływającą po policzku.

- Ty naprawdę nie chcesz mieć dzieci. - Potrząsnęła głową, ściągnęła ze zdumieniem brwi i powiedziała jakby do siebie: - To nie może być prawda. Widziałam cię z Albertem i innymi dziećmi. Jesteś wspaniała i...

- Z dziećmi jest dużo roboty. Uniemożliwiają życie towarzyskie. Nazwij mnie samolubem - lepiej, by on to powiedział, zanim ona to zrobi - ale nie chcę wracać wieczorem do żony, która jest tak wyczerpana, że może tylko zasnąć.

Spojrzała na niego, jakby wyrosła mu druga głowa, i to niezbyt piękna.

- Nie możesz tak uważać, Gianfranco.

- To nie ja zmieniłem zdanie - przypomniał jej ostro - tylko ty.

- Sądziłam, że ucieszysz cię, że istnieje szansa - wykrztusiła głosem pełnym łez i rozczarowania. - Kate da Angelowi dziecko, i ja chciałam...

- My to nie Kate i Angelo. To inny przypadek.

- Sądzisz, że o tym nie wiem?

- Ja już mam syna. - Syna, w obronie którego chętnie oddałby życie... jak to zrobiła jego matka.

Ta świadomość pozwoliła mu oprzeć się błaganiu w jej wzroku. Oczywiście, wiedział, że nikt nie obwinia go o śmierć Sary i racjonalnie myśląc, zdawał sobie sprawę, że nie jest to jego wina, ale pozostawało faktem, że gdyby nie był tak nieodpowiedzialny i nie zrobił jej dziecka, gdyby nie skłonił jej do ślubu obietnicą luksusowego życia i nie wyperswadował aborcji, dzisiaj by żyła.

Dolna warga Diany zadrżała, gdy odezwała się drżącym głosem:

- Ale moglibyśmy mieć nasze dziecko. Ja nie mam syna. Nie mam dziecka.

Lekarz powiedział, że w ostatnich latach poczyniono wielkie postępy w sztucznym zapłodnieniu.

- I za moimi plecami poszłaś do lekarza... - Wykorzystał gniew, by stłumić poczucie winy.

- Nie patrz tak na mnie, Gianfranco.

- Jak? - spytał chłodno.

Rzuciła mu zrozpaczone spojrzenie.

- Myślę, że byłbyś szczęśliwszy, gdybym powiedziała, że mam romans!

Inny mężczyzna... to było śmieszne.

Patrzył na nią z nieruchomą, kamienną twarzą. Myśl o mężczyźnie dotyczącym Diany nie skłaniała go do śmiechu, a nawet do uśmiechu. Rozbudziła w nim wściekłość.

Westchnęła i potrząsnęła przecząco głową. Podjęła świadomy wysiłek, by rozładować narastający antagonizm.

- Nie robiłam niczego poza twoimi plecami... Po prostu chciałam ustalić fakty, zanim omówię je z tobą. Nie zamierzałam rozbudzać twoich nadziei, a lekarz powiedział, że...

Przerwał jej, nie chciał słyszeć, co powiedział jakiś lekarz. To lekarz zapewnił go, że cukrzyca, która rozwinęła się u Sary w okresie ciąży, nie jest powodem do zmartwienia. Cukrzyca ciążowa, tłumaczył, to zjawisko częste, ale rzadko są z nią kłopoty po porodzie.

I uwierzył mu, jak ostatni dureń.

Tymczasem po porodzie choroba Sary rozwinęła się w cukrzycę insulinozależną, wymagającą codziennych zastrzyków. I znowu przekonały go zapewnienia pewnego siebie medycznego eksperta, że nie ma powodu, by Sara nie mogła prowadzić normalnego życia.

Trzy miesiące później pochował żonę, która zmarła z powodu przypadkowego przedawkowania insuliny.

- Myślałem, że nasze małżeństwo opiera się na szczerości?

- Nie nasze małżeństwo... - ucięła i poderwała się z łóżka. Boże, gdyby tego nie zrobiła, mogłaby go udusić! - A co z tym, czego ja chcę? Czego potrzebuję?

- Sądziłem, że dam ci to, czego chcesz i potrzebujesz.

- Chcę tego dziecka.

- Nie ma żadnego dziecka.

- Może być, może! - załkała.

Wytrącił ją z równowagi fakt, że nawet nie próbował rozważyć jej słów.

- Znam ludzi, którzy próbowali metody in vitro. Zdominowała ich życie, spowodowała wiele problemów w ich związku, nie mówiąc już o emocjonalnym i fizycznym wpływie tych wszystkich chemikaliów na kobietę.

- Niektórzy uważają, że warto to znieść... a jeśli nawet nie podejmiesz próby, zawsze będziesz się zastanawiał...

- Nie chcę nigdy tego przechodzić. Poza tym z tego, co mi mówiłaś, masz znikome szanse zajścia w ciążę.

Diana przycisnęła pięści do brzucha: zrobiło się jej niedobrze.

- Ale jest szansa.

- Nie, nie chcę dziecka.

Ogarnął ją gniew. Może nie chodziło o to, że nie chciał dziecka. Może nie chciał mieć dziecka z nią.

- Więc może znajdę kogoś...

Gdyby odpowiedział gniewem, gdyby zareagował w jakiś inny sposób, a nie odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem, mogłaby ochłonąć. Ale on się zaśmiał.

- Uważasz, że tego nie zrobię?



Przestał się śmiać. Zadrżała, gdy ich oczy się spotkały. Nigdy nie widziała w nich takiego chłodu.

- Wiem, że nie zrobisz. - Bo gdyby kiedyś zobaczył, że jakiś facet za bardzo się z nią spoufala, to już on postara się, żeby obojgu odechciało się takich poufałości!

- Doprawdy? - zapytała spokojnie. - Co ty wiesz? Okazuje się, że nieomylny Gianfranco Bruni jednak nie wie wszystkiego.

- Co robisz? - spytał, kiedy zaczęła biegać po pokoju, otwierając drzwi i szuflady, i wrzucając ich zawartość do torby.

- Pakuję się.

Jego arystokratyczne rysy zastygły; prychnął pogardliwie.

- Jesteś śmieszna.

Wysunęła szufladę i wyciągnęła paszport.

- Nie, nareszcie nie jestem śmieszna. Musiałam być szalona, że za ciebie wyszłam! Jesteś najbardziej samolubnym człowiekiem, jakiego spotkałam. Zabieram samochód. Zostawię go na lotnisku.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Diana nie miała wątpliwości, gdzie ma się schronić.

Ilekroć wpadała w kłopoty, można było przewidzieć gdzie - albo raczej, do kogo - się uda, pewna gorącego przyjęcia. Jak również tego, że jej najlepsza przyjaciółka, Sue, nie będzie nalegać na wyjaśnienia, dopóki ona sama do tego nie dojrzeje.

Zachowanie Diany było tak przewidywalne, że nie mogła nawet udawać, iż milczenie Gianfranca wynika z niemożności odnalezienia jej.

Spojrzała na zegarek i nie potrafiła uwierzyć, że wciąż jest trzecia.

Każda bolesna minuta niekończącego się dnia wydawała się godziną. To ty odeszłaś. A on za tobą nie pobiegł. Nigdy mu tego nie wybaczy.

Jedno było pewne: Jeśli chce zachować choć odrobinę szacunku dla siebie, nie może tak żałośnie tu siedzieć.

Musi zacząć planować swoją przyszłość jako kobiety samotnej. Na szczęście miała odpowiednie kwalifikacje, więc bez trudności zarobi na życie, nawet gdyby z początku pracowała na zlecenia.

Wzięła do ręki pilota i - myśląc bez specjalnego entuzjazmu o powrocie do dawnego życia - włączyła telewizor.

Twarz elegancko ubranej prezenterki z dziennika telewizyjnego wypełniła ekran.

- W pierwszą rocznicę tragedii...

Diana otworzyła szeroko oczy, gdy spokojne oblicze prezenterki zastąpił obraz przywodzący na myśl strefę wojny: totalne zniszczenie, kawałki metalu, ryk syren. Potem nastąpiło zbliżenie na zakrwawioną twarz oszołomionego mężczyzny, który wychwalał służby ratunkowe.

- Trwa właśnie żałobne nabożeństwo w intencji ofiar - oznajmił głos zza kadru.

Twarz zaszokowanej Diany straciła wszelki wyraz. Gianfranco, jako jeden z ocalonych, otrzymał zaproszenie na uroczystość, ale uprzejmie je odrzucił.

Wierzył, że należy żyć teraźniejszością, nie przeszłością. Nieco zaskakujące podejście w przypadku kogoś, kto nigdy nie doszedł do siebie po śmierci pierwszej żony.

Zapomniałam... Jak to możliwe, zachodziła w głowę, i zaśmiała się cicho, z niedowierzaniem.

Jak mogła zapomnieć o dniu, który zmienił życie tak wielu ludzi?

Teoretycznie miała wolny dzień, ale kiedy w szpitalu, w którym pracowała, ogłoszono stan pogotowia po wybuchu bomby na zatłoczonej ulicy, wezwano ją do pracy, podobnie jak resztę niezbędnego personelu.

Zanim dojechała na miejsce, personel dyżurny na oddziale przygotował możliwie największą liczbę łóżek. Pacjentów w lepszej kondycji przenoszono na oddziały ogólne, by zrobić miejsce dla rannych.

Jednym z nich był mały Alberto Bruni, którego oddano pod opiekę Diany. W chwili, gdy wahadłowe drzwi rozchyliły się, by przepuścić wózek przewożący chłopca z sali operacyjnej, zerknęła na zegarek i ze zdumieniem uprzytomniła sobie, że pracuje od ośmiu godzin.

- Diano, kiedy miałaś przerwę?

Odwróciła się i uśmiechnęła na widok zatroskanej twarzy przełożonego pielęgniarek, Johna Stewarta. Worki pod jego niebieskimi oczami były wyraźniejsze niż wczoraj. Zastanowiła się, czy i ona ma tak zmęczony wygląd.

- Właśnie przewożą mojego pacjenta z bloku operacyjnego, John. Poczekam, dopóki nie znajdzie się na swoim łóżku. - Zerknęła na nazwisko na dokumentacji, którą właśnie dostarczono. - Bruni - odczytała na głos. - Myślisz, że to następny turysta?

- Być może. Nazwisko ma włoskie brzmienie.

Ściągnęła brwi i z namysłem przygryzła dolną wargę.

- Ciekawe, czy zna angielski? - spytała, starając się przewidzieć wszystkie problemy. Nie podejrzewała nawet, że mierzący sześć stóp i pięć cali problem, który miał zmienić jej życie, wkracza właśnie do sali.

- No cóż, jeśli nie - stwierdził John, zniżając głos i pochylając głowę w kierunku drzwi - to on musi go znać. To chyba ojciec, nie sądzisz...? No, to ci dopiero niespodzianka - dorzucił. Nie wyglądał przy tym na zadowolonego.

- Kto...? - Diana odwróciła się i urwała.

Otworzyła szeroko oczy, gdy zauważyła, o kim mówił zmęczony pielęgniarz.

Wysoki mężczyzna, który szedł obok wózka, miał fascynujące, płynne ruchy, zwykle kojarzące się z tancerzami i atletami.

Brud i pył pokrywające jego twarz i włosy świadczyły, że był jednym z mniej poszkodowanych, a choć ubranie miał poplamione i pokrwawione, nosił je z taką pewnością siebie, że zauważało się to dopiero po pewnym czasie.

Dotąd tylko czytała o ludziach wyglądających jak on. Prawdę mówiąc, czytała również o tym mężczyźnie, ponieważ okazało się, że jej młody pacjent jest synem samego Gianfranca Bruni.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego tak fascynował media. Przypuszczalnie nie brakowało włoskich arystokratów, których rodowód sięgał kilka wieków wstecz, ale bardzo niewielu zbudowało finansowe imperium dosłownie z niczego.

Gianfranco Bruni był wyniosły, miał płomienne oczy i zmysłowe usta. Zachwycająco piękne, muskularne ciało, szerokie ramiona. A także cechę trudniejszą do zdefiniowania: silny, nieskrywany seksapil.

- To naprawdę Gianfranco Bruni? - Chociaż raz media nie przesadziły, kiedy wychwalały jego wygląd.

John zaśmiał się.

- Jeśli to nie on, to jego brat bliźniak. Zachowaj czujność przy odbieraniu telefonów. Jak tylko dziennikarze się połapią, opadną nas niczym sępy. A jeśli będzie sprawiał ci kłopoty, odeślij go do mnie.

- Nie martw się, John. Poradzę sobie z nim.

Śmieszne, wtedy naprawdę w to wierzyła!

- Po prostu rób, co do ciebie należy i zostaw politykowanie panom w garniturach. O wilku mowa... Pójdę zająć się tymi dwoma - powiedział, wskazując niechętnie głową dwóch wysokich urzędników szpitalnych, którzy podążali jak cień za Brunim.

Urwał, gdy podeszła do niego pielęgniarzka, towarzysząca chłopcu, i zapytał ją gniewnie:

- Dlaczego nie zatrzymałaś ojca na zewnątrz?

- Zatrzymałam - zaprotestowała. - No cóż, próbowałam - poprawiła się. - Ale on... - zerknęła na wysokiego Włocha i wzruszyła ramionami, wznosząc oczy do nieba - co miałam zrobić, kiedy mnie zignorował?

Diana spojrzała na dziewczynę ze współczuciem.

- John, ona ma rację. - Najwyraźniej Bruni był typem człowieka, który nie reaguje na prośby, o ile mu to nie odpowiada.

Przystanął w drzwiach i obrzucił pokój twardym spojrzeniem.

Zadziwiająco, zważywszy, że miał za sobą przeżycia, po których większość ludzi wylądowałaby w szpitalnych łóżkach, nafaszerowana środkami uspokajającymi.

Gdy obserwowała go z ciekawością, przesunął po niej wzrokiem. Czy wyobraziła sobie, czy też popatrzył na nią dłużej...? Ale ułamek sekundy dłuży się, kiedy człowiek wstrzymuje oddech, jak ona to zrobiła.

Stanąwszy przy nim, zorientowała się, że instrumentariuszka nie była jedyną osobą, którą zignorował w szpitalu. Nie potrafiła uwierzyć, że nikt nie zasugerował mu - nawet przy użyciu przymusu - że należałoby zaszyć otwartą ranę na jego czoło.

Poczuła narastające napięcie, gdy spojrzała w ciemne oczy osłonięte gęstymi, czarnymi rzęsami.

- Dzień dobry, jestem Diana Smith. - Rzuciła mu wyćwiczony, kojący uśmiech, ale nie zareagował. - To ja będę zajmować się Albertem. Druga kabina. - Skinęła głową czekającemu sanitariuszowi. - Jeśli zechce pan poczekać na zewnątrz, ktoś da panu znać, kiedy Alberto znajdzie się w łóżku.

- Nie.

- Słucham?

- Ma pani kłopoty ze słuchem? - rzucił zjadliwie.

Jej uśmiech zbladł; musiała przypomnieć sobie, że ludzie rozmaicie reagują na szok i bolesne przeżycia. Niektórzy stają się agresywni, inni - niezdolni, a od czasu do czasu trafia się ktoś, kto demonstruje oba te zachowania. A może było to typowe zachowanie miliardera?

Ale i tak nie zmieni to sposobu, w jaki będzie się do niego odnosić. W jej oczach był ojcem pacjenta. Stan jego konta bankowego był równie nieistotny jak niesamowita długość rzęs.

- Powiedziałem, nie. Nie zechcę poczekać na zewnątrz.

Zostawił ją i ruszył za sanitariuszami.

Wykrzywiła usta w ponurym grymasie i przyglądała się oddalającym się szerokim plecami. No cóż, udało ci się narzucić mu swój autorytet... Z całą pewnością wie, kto tu rządzi.

Pozbywszy się waśniaków w garniturach, John podszedł do niej i pytająco uniósł brew.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście.

Irytacja na Włocha przeszła jej zupełnie, gdy podeszła do łóżka i zobaczyła wyraz jego twarzy, gdy patrzył na nieruchomą postać swojego nieprzytomnego dziecka. Widziała już wcześniej przyprawiający o mdłości strach i obserwowała ludzi, którzy próbowali nad nim zapanować.

Ogarnęło ją współczucie - Gianfranco Bruni przeżywał koszmar na jawie.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Ciemne oczy spoczęły przez chwilę na Dianie, która rozwijała przewód kroplówki, potem uwaga Gianfranca znowu skupiła się na leżącym chłopcu.

- Jak rozumiem, minie trochę czasu, zanim odzyska przytomność...?

Niski głos, z lekkim cudzoziemskim akcentem, miał w sobie coś, co przyprawiło ją o dreszczyk.

Przywykła radzić sobie z zapłakanymi, zdenerwowanymi krewnymi, ale ten mężczyzna nie mieścił się w tej kategorii. Przynajmniej z pozoru wydawał się całkowicie opanowany.

Nie widziała jego twarzy, gdyż pochylił się i odgarnął pasmo ciemnych włosów z woskowego czoła syna, ale spostrzegła wymowne drżenie długich, smagłych palców.

- Trudno to przewidzieć.

- Proszę spróbować - polecił lakonicznie. - I proszę zmienić wyraz twarzy - dorzucił, nie patrząc na nią.

Drgnęła zmieszana.

- Nie potrzebuję współczucia. Potrzebuję odpowiedzi. - Jego nienaturalna obojętność osłabła nieco, gdy dorzucił gniewnie: - I nie musi pani zbytnio upraszczać wyjaśnień. Mogę nie mieć dyplomu lekarskiego, ale nie jestem idiotą!

Nie czuła się urażona jego zachowaniem. Był ojcem, który szalał z niepokoju o syna, i do jej zadań należało zadbanie, by syn wyzdrowiał, a ojciec przestał się denerwować.

Była w tym dobra.

- Jestem pewna, że lekarze wyjaśnili już sytuację.

Kojący ton, którym uspokajała tak wielu pacjentów, nie wywarł widocznego efektu na tym mężczyźnie. Uciszył ją władcym ruchem głowy.

- Lekarze klepią trzy po trzy i nic nie wyjaśniają!

- I pomyślał pan, że mnie łatwiej będzie tyranizować. Niestety, to tak nie działa.

Uniósł ze zdumieniem brew i wymruczał coś pod nosem po włosku. Musiała dołożyć starań, by zachować spokojny uśmiech, gdy przesunął spojrzenie po jej twarzy, jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy.

Odniosła wrażenie, że niespecjalnie podoba mu się to, co widzi.

- Uważa pani, że jestem tyranem?

- Tego nie wiem, ale jest pan zdenerwowanym ojcem. - Jej spojrzenie złagodniało, gdy popatrzyła na twarz nieprzytomnego chłopca. - Naprawdę, pana syn znajduje się we właściwym miejscu.

- Szkoda, siostrze, że nie był we właściwym miejscu dziś o drugiej. - Zaczepnął tchu, odwrócił głowę i przesunął dłonią po oczach, jak gdyby chciał odgonić koszmarne obrazy.

- Czy chciałby pan, żebym kogoś zawiadomiła? - Jej zdaniem, nikt nie powinien być sam w takiej chwili.

- Gdybym potrzebował do kogoś zadzwonić, już bym to zrobił.

Było jasne, że potrafiłby być jeszcze bardziej nietaktowny, gdyby uznał, że wkroczyła na jego osobisty teren. Świetnie. Przyjęła z uśmiechem ten ostatni afront, ale naraziła się na następny, dorzucając:

- Do matki Alberta albo...

Dłoń mu opadła. Spojrzał chłodno na Dianę.

- Matka Alberta nie żyje.

- Tak mi przykro.

- I żeby oszczędzić pani kłopotu, powiem, że nie jest to łakomy kąsek, za który gazety chciałyby zapłacić. Obawiam się, że to stara historia. Media już ją doszczętnie wyeksploatowały.

Upłynęło kilka sekund, zanim dotarła do niej aluzja. A wtedy rumieniec gniewu zalał jej policzki.

Z wymuszonym uśmiechem wbiła wzrok w jego twarz.

- Mogę zapewnić, panie Bruni, że podobnie jak ja cały personel szpitala bardzo poważnie przestrzega zasady ochrony prywatności pacjenta.

- Rozgniewałem panią.

Chyba go to zaskoczyło. Dobry Boże, a jak, zdaniem tego okropnego faceta, miała się czuć? Przecież powiedział, że sprzedałaby swoją duszę, byle cena była odpowiednia!

Uśmiechnęła się sztucznie.

- Nie gniewam się - skłamała.

Odniosła wrażenie, że to zaprzeczenie go rozbawiło, o ile cyniczne wykrzywienie zmysłowych ust mogło być nazwane uśmiechem.

- Głos w porządku, ale nad wzrokiem musi pani popracować... pani oczy są pełne wyrazu. Nie zamierzałem pani obrazić, siostró... - spojrzenie jego oczu spoczęło na plakietce z nazwiskiem na jej piersi - Smith.

Cyniczna intonacja tak ją zdenerwowała, że z trudem zmusiła się do przypomnienia, że ten człowiek znajduje się w trudnej sytuacji i wymaga specjalnego traktowania.

- To nic osobistego - dorzucił. - Każdy ma swoją cenę.

- Gdybym w to wierzyła, moja depresja nie pozwoliłaby mi rano wstać z łóżka, panie Bruni. W poczekalni dla rodzin jest automat do kawy - dorzuciła z nadzieją, że kawa jest wystarczająco bezosobowym tematem, by facet z widoczną alergią na współczucie uznał go za odpowiedni. - Jeśli zechce pan tam pójść, kiedy zajmę się Albertem, żeby było mu wygodniej...

- Powiedziałbym, że to niemożliwe, aby było mu wygodniej, skoro sterczy z niego pół tuzina rurek.

- W automacie jest też herbata i gorąca czekolada. Co prawda niełatwo je rozróżnić - przyznała. - Ale płyn to płyn.

- Herbata... Anglicy myślą, że herbata jest lekarstwem na wszystko.

- Po prostu chciałam być taktowna. Łatwiej będzie mi zająć się pana synem pod pana nieobecność. Krewnym często trudno jest obserwować ukochane osoby...

Przerwał jej, a jego głos przepelniony był zniecierpliwieniem:

- Trudno mi było wykopywać syna spod gruzów.

- To z pewnością było okropne - powiedziała cicho.

Wydawało się, że nie usłyszał jej komentarza; uniósł dłonie i przez kilka sekund wpatrywał się w długie palce, pokryte brudem i krwią, potem potrząsnął głową.

- Czuję, że jestem w stanie patrzeć, jak mierzy mu pani ciśnienie, i nie zemdleć. Nie będę pani zawadzać, ale nie ruszę się stąd.

Z przyjemnością odkryła, że wyniki obserwacji młodego Włocha nie dają powodu do niepokoju. W końcu obrzuciła spojrzeniem eksperta bladą twarz chłopca, odgarnęła mu dłonią pasmo ciemnych włosów z czoła i szepnęła:

- To na razie wszystko, Alberto.

Wyprostowała się, przeszła w nogi łóżka i umyła ręce żelem, zanim zwróciła się do ojca.

- Jego stan jest...

- Niech zgadnę - taki, jak można się było spodziewać. *Dio*, czy nigdy nie skończą się wam bezsensowne frazesy?

- Pana syn jest młody i silny, operacja się udała. Naprawdę nie powinien pan martwić się na zapas.

Skrzywił się lekko, najwyraźniej ten ruch rozchylił poszarpane brzegi głębokiej rany na jego czole.

- Gdyby nie wrócił po tę cholerną grę komputerową... Grę komputerową! - Zamknął oczy i odetchnął głęboko. Pocierając zmarszczkę między brwiami, podniósł się na nogi. - Mój syn mógł zginąć, ponieważ chciałem dać mu lekcję wartości, nauczyć, że bycie jedynakiem bogacza nie oznacza, że nie musi pracować.

Wrócił po grę, bo wiedział, że nie odkupię mu czegoś, co stracił przez swoje nie-

dbalstwo. Ta lekcja mogła okazać się bardzo droga... dla Alberta.

Przełknął z trudem ślinę, smagła skóra na szyi zadrgała konwulsyjnie, kiedy próbował zapanować nad potokiem emocji.

- I co? Gdzie „To nie pana wina, panie Bruni”? - wycedził z ironią.

- Jestem pewna, że nie muszę tego panu mówić - powiedziała spokojnie.

- Najwyraźniej nie ma pani dzieci.

Drgnęła, jak gdyby nieumyślnie dotknął bolącego miejsca.

- Nie. Nie mam dzieci. - I nigdy nie będę miała.

- Gra warta kilka funtów, a ja jestem właścicielem firmy...

Spojrzała na jego dłonie, splecione w bezsilnym gniewie tak, że pobieleły kostki, i zareagowała odruchowo. Wyciągnęła rękę i nakryła jego dłoń swoją.

- To nie była pańska wina - powiedziała gwałtownie. - Tylko tych potworów, które zaplanowały tę masakrę.

Gianfranco Bruni zastygł z wzrokiem utkwionym w małą dłoń, spoczywającą na jego ręce.

Uścisnęła jego dłoń po raz ostatni i wypuściła ją, ale zdążyła pomyśleć, że miał ładne dłonie, kształtne i silne, o długich, zwężających się palcach.

- Naprawdę nie wolno panu się oskarżać - nalegała z powagą.

Nastąpiła chwila krępującej ciszy.

- Powinno panią interesować tylko zdrowie mojego syna, siostrze. - Uśmiechnął się lodowato i dodał: - Rozumie pani?

Zaczerwieniła się.

- Rozumiem - odpowiedziała, nie zmieniając tonu.

- I dobrze - burknął, podciągnął krzesło bliżej łóżka i usiadł.

- Diano, są jakieś problemy?

Nie zauważyła, że przełożony pielęgniarek zbliżył się do niej i więc drgnęła, gdy się odezwał. Wzięła głęboki oddech.

- Nie, nie ma.

John skinął głową, ale nie wyglądał na przekonanego, gdy przenosił spojrzenie na Włocha.

- Panie Bruni, załatwiłem sanitariusza z wózkiem inwalidzkim, który przewiezie pana na oddział urazowy. Jeden z chirurgów plastycznych jest wolny.

Gianfranco Bruni spojrział na niego obojętnie.

- Uważa mnie pan za inwalidę?

- Taka jest praktyka szpitalna, a im szybciej zeszyje się ranę na głowie, tym lepiej.

- Na głowie?

Włoch sprawiał wrażenie zbitego z tropu tą wzmianką. Diana zaczęła podejrzewać, że zapomniał o swojej ranie albo nawet jej nie zauważył.

- Ma pan głębokie rozcięcie na czole - wyjaśnił John. - Czy nie stracił pan w pewnej chwili przytomności?

Gianfranco machnął lekceważąco ręką i odwrócił się.

- To tylko draśnięcie - wypalił z irytacją.

Diana nie zdołała zapanować nad rozdrażnieniem.

- Przez to draśnięcie zakrwawił pan podłogę.

Włoch gwałtownie obrócił głowę.

- Co pani sobie wyobraża, siostrze? Do kogo pani mówi?

- Do człowieka, który przedkłada posłuch nad prawdę, wyjątkowo upartego, który nie wyrzekłby się kontroli, gdyby od tego zależało jego życie.

Trudno powiedzieć, który z dwóch mężczyzn sprawiał wrażenie bardziej zdumionego jej wybuchem.

- Diano - zaczął John - może byłoby lepiej, gdybyś...

- Krwawię. - Oboje odwrócili się jednocześnie i zobaczyli Gianfranca wpatrującego się w krew na palcach. Jego twarz miała dziwnie obojętny wyraz.

- Proszę się nie niepokoić - ostrzegła, obserwując go czujnie.

Poderwał gwałtownie głowę.



- Ja się nie niepokoję. Dajcie mi tylko plaster... opatrunek, żeby to osłonić.

- W tym szpitalu nie praktykuje się systemu „zrób to sam”, panie Bruni - wtrącił spokojnie John.

- Ona może to zrobić - stwierdził nagle Włoch, wskazując palcem Dianę.

Otworzyła usta.

- Siostra Smith nie może...

- Nie umie?

- Oczywiście, że umie, ale kiedy chirurg zeszyje ranę, prawie nie będzie śladu.

Bruni spojrzał na mężczyznę i warknął:

- Myśli pan, że moja twarz coś mnie obchodzi? Z pewnością chirurg ma dziś ważniejsze sprawy do załatwienia niż zszywanie mojego zadrapania. Nie tylko mój syn walczy o życie - wycedził przez zaciśnięte zęby, wbijając przepelnione bólem oczy w nieruchomą postać na łóżku. - Ja chcę ją - dorzucił, nie patrząc na Dianę. - Siostrę Smith.

John wzruszył ramionami, obrzucił Dianę pytającym spojrzeniem i ku jej konsternacji spytał:

- Nie masz nic przeciwko temu?

Z równą chęcią włożyłaby rękę do gniazdka elektrycznego, ale starała się ukryć irracjonalne przerażenie.

- Proszę się nie martwić. Nie jestem pieniaczem - stwierdził Włoch, widząc jej wahanie.

- Nie martwię się, że poda mnie pan do sądu. - I nie miała wątpliwości, że jest w stanie przeprowadzić ten stosunkowo łatwy zabieg; założyła szwy na setki ran. Nie, jej niechęć płynęła raczej z irracjonalnego i silnego oporu przed dotknięciem tego mężczyzny. - Chirurg plastyczny zrobiłby to o wiele lepiej. Ja zwykle...

- Więc niech się pani dostosuje do sytuacji.

- Bo pan tego nie zrobi?

Przyjrzał się jej uważnie, mrużąc oczy.

- Rozpracowała mnie pani szybciej niż większość ludzi.

Czy to był komplement? Pięć minut później wchodziła do małej, oddzielonej zasłonami kabinki, cały czas intuicyjnie wyczuwając obecność idącego za nią wysokiego mężczyzny. Wskazała mu krzesło i oświetliła jego twarz, potem umyła ręce i włożyła sterylne rękawiczki.

- Przepraszam.

Pod kurzem i krwią jego cera miała szarawy odcień.

- Za co?

- Że sprawiam panu ból.

- Sądzę, że pani cierpi bardziej niż ja. - W głęboko osadzonych oczach pojawił się błysk rozbawienia. - Jest pani pewna, że ma pani odpowiednie predyspozycje do zawodu pielęgniarki?

- Nie wszyscy - odparowała cierpko - uważają, że empatia to coś złego. - Zatrzymała rękę z wacikiem i spytała z nadzieją w głosie: - Jest pan pewien, że nie wolałby pan, żeby zrobił to jeden z lekarzy? Rana jest naprawdę głęboka.

- Proszę brać się do roboty.

- Dobrze, jeśli pan tego chce. Tylko znieczulę...

Potrząsnął z irytacją głową.

- Nie ma mowy. Proszę po prostu zaszyć to cholerstwo.

- Naprawdę, nie musi pan udowadniać, jaki z pana macho. Nie ma tu nikogo poza mną.

Spojrzał na nią z pogardliwym uśmiechem.

- A myślałem, że ucieszy się pani, że jestem zdany na jej łaskę.

Jak większość pielęgniarek, Diana musiała niejedną raz uchylić się przed ciosem pijaka na izbie przyjęć, raz miała zwichnięte ramię, gdy niezrównoważony pacjent próbował wyskoczyć przez okno z pierwszego piętra, ale nigdy nikt jej nie zdenerwował tak jak ten mężczyzna. I przy żadnym nie czuła się tak bezbronna.

- Doskonale.

Pracowała najszybciej jak zdołała, przygryzła język zębami, koncentrując się na zszywaniu brzegów poszarpanej rany. Nie drgnął nawet. Może dlatego, że była dobra w tym, co robiła, ale najprawdopodobniej dlatego, że przez głupi upór nie chciał przyznać się do bólu.

- Proszę - powiedziała, cofając się, by rzucić okiem na swoje dzieło. - Skończone. A teraz powoli... może pan...

Nie zdążyła dokończyć zdania, gdy zdjął sterylny ręcznik, który zarzuciła mu na ramiona, i podniósł się na nogi.

- Co mogę, siostrze?

- Zemdlec, jeśli wstanie pan za szybko.

Na chwilę błysk białych zębów rozjaśnił szczupłą, smagłą twarz, przez co wyglądał o wiele młodziej i - gdyby to nie było po prostu niemożliwe - jeszcze atrakcyjniej.

- Przykro mi, że panią rozczarowałem.

Mokry płaszcz, rzucony na kanapę obok Diany, gwałtownie przywołał ją do rzeczywistości. Mrugając, przeniosła wzrok z obrazów na ekranie telewizora na postać kierującą się w kierunku kuchni. Dolatujące stamtąd dźwięki dowodziły, że nowo przybyła napelnia czajnik.

Chwilę później Sue wróciła do pokoju.

- Na dworze jest okropnie - oznajmiła, przeczesując palcami wilgotne, ciemne kędziory. - Płakałaś! - wykrzyknęła oskarżycielsko, zerkając na mokrą twarz Diany.

- Nie... - Diana uniosła dłoń do twarzy i poczuła na skórze słoną wilgoć. - No, może płakałam... - przyznała.

- To doprowadza mnie do szału. - Przyjaciółka zrzuciła z nóg buty, które uderzyły w przeciwległą ścianę. - Uszanowałam twoją prywatność, ale jestem tylko człowiekiem. Muszę wiedzieć... Dlaczego porzuciłaś tego rozkosznego Gianfranca,

który najwyraźniej uwielbia ziemię, po której stąpasz. - Usiadła na kanapie obok Diany i zrzuciła płaszcz na podłogę. - No, podaj mi wszystkie drastyczne szczegóły.

- On wcale nie uwielbia ziemi, po której stąпам. - Diana uniosła w górę pusty kubek. - Za nowy start!

- Co takiego? - Sue wpatrywała się z troską w zaciętą twarz przyjaciółki.

- Taki toast wzniosła Carla podczas lunchu, na który zaprosiła mnie w pierwszy tydzień po ślubie. Powiedziała, że to cudowne, że Gianfranco mnie spotkał, że był w stanie zacząć od nowa i wejść w nowy związek, bez uczucia, że nie docho-  
wuje pamięci Sary.

- Cóż, bardziej lubiłabym ją, gdyby miała pryszcze, ale coś w tym jest...

- Tylko że się myliła - przerwała jej z goryczą Diana. - On nie zaczął od nowa... i wcale mnie nie kocha.

- Nie bądź niemądra. Oczywiście...

- Nie. - Diana powoli pokręciła głową. - Nigdy nie udawał, nadal ją kocha. -  
Moje życie się nie skończyło, napomniała się w duchu. Tylko tak się wydaje. - Nie  
chodzi o to, że on nie chce mieć dziecka. Nie chce go mieć ze mną.

Oczy Sue zrobiły się wielkie jak spodki.

- Dziecko! Myślałam, że nie możesz mieć dzieci. Sądziłaś, że zerwie z tobą,  
gdy mu o tym powiesz - przypomniała przyjaciółce. - Byłaś w siódmym niebie, gdy  
zapewnił, że to mu nie przeszkadza.

Diana skinęła smutno głową.

- Powiedział, że ma Alberta i nie chce więcej dzieci. Że mamy już gotową  
rodzinę.

- Ale ty chcesz mieć własne dziecko i jest szansa...?

Przytaknęła. Sue była jedną z niewielu osób, którym opowiedziała o tragicz-  
nych skutkach zapalenia otrzewnej, jakie rozwinęło się po perforacji wyrostka,  
kiedy była nastolatką. Omal wtedy nie umarła.

- Może byłabym w stanie zejść w ciążę - dodała, a łzy zaczęły spływać z jej oczu - ale nie z Gianfrankiem. Muszę wybierać: albo dziecko, albo on.

Gdy zaczęła głośno płakać, Sue otoczyła ją ramionami.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- I co o tym sądzicie? - spytał mężczyzna siedzący u szczytu stołu. Uniósł głowę znad arkusza kalkulacyjnego, który uważnie studiował.

W głębokiej ciszy przyglądał się spod opuszczonych powiek każdej twarzy. Na kilku z nich mógł zauważyć oznaki paniki, gdy członkowie zarządu rozpaczliwie usiłowali domyślić się, co chciałby usłyszeć.

Gianfranco odczuł przypływ irytacji - nie lubił otaczać się potakiwaczami.

Wydawało się, że nikt nie ma własnego zdania, a jeśli miał - nie zamierzał go zdradzać. Czuł, że jego złość rośnie w miarę pogłębiania się ciszy.

- Może wolelibyście być gdzie indziej? - zasugerował ze zjadliwą słodyczą.

Dzwonek telefonu przerwał przedłużające się milczenie. Zaczął liczyć w myślach, zacisnął pięści, aż pobieleły mu kostki, gdy walczył z chęcią natychmiastowego wyciągnięcia komórki z kieszeni marynarki.

Nikt z obecnych nie próbował nawet sprawdzić, czy nie jest to telefon do niego.

Dobrze wiadano, jak bardzo Gianfranco Bruni nie lubi takiego przerywania i nikomu nie przyszłoby do głowy zjawić się na zebraniu, któremu przewodniczył, bez wyłączenia komórki.

To sam Gianfranco po drugim dzwonku wyciągnął aparat z kieszeni na piersi i spojrzawszy na wyświetlacz, wstał gwałtownie, przeprosił i wyszedł.

- Żona - domyśliła się jedyna obecna na spotkaniu kobieta, powtarzając bezwiednie to, co pomyślał Gianfranco po pierwszym dzwonku. Nikt nie zaprzeczył.

Rok temu, przed ślubem, Gianfranco nie zlekceważyłby własnej zasady, do-

tyczącej zakazu przerywania zebrań. Od ślubu, na który nikt, a zwłaszcza dziennikarze, nie został zaproszony, zauważono w nim znaczące zmiany. Chodziły słuchy, że od czasu do czasu brał wolny dzień.

- No cóż, mam nadzieję, że ona powie mu coś, co wprawi go w lepszy humor.

- Tak, dzisiaj nasz szef nie jest tak pogodny jak zawsze, prawda? - stwierdził ktoś oschle.

Rozległy się głośnie potakiwania.

- Poznaliście ją? To znaczy, żonę? - spytał z zaciekawieniem jakiś mężczyzna.

Ciche rozmowy umilkły, kilka osób potakująco skinęło głowami.

- Moja matka zmusiła mnie, żebym zabrał ją na otwarcie nowego hospicjum dla dzieci - odezwał się jeden z obecnych. - Okazało się, że ten projekt zrodził się w głowie jego żony.

- Przypuszczam, że nawet dama, której głównym zajęciem jest chodzenie na lunch, chciałaby zrobić coś pożytecznego, co mogłaby wpisać do swojego CV.

- Ja też tak myślałem, ale okazało się, że naprawdę się nie oszczędzała. I to dosłownie - mówił mężczyzna, uśmiechając się na to wspomnienie. - Bosonoga, pełzała na czworakach i turlała się z jakimiś dzieciakami w trawie.

- Wygląda na to, że nie przypomina innych dziewczyn Gianfranca Brunni.

- Nie jest jego dziewczyną, tylko żoną. Może stąd ta różnica. Ale się nie mylisz. Ona naprawdę nie jest w jego typie.

- Mimo to przypuszczam, że jest niebrzydka?

- Ładna - przytaknął rozmówca. - Rude włosy, zielone oczy, piegi. -

Uśmiechnął się marząco. - Wspaniały, seksowny śmiech.

- Ricardo chyba się zadurzył - rzucił ktoś figlarnie.

Rozległy się śmiechy, gdy mężczyzna w średnim wieku zaczerwienił się, ale nie zaprzeczył.

- Nigdy nawet nie widziałem jej zdjęcia.

- Więc ta rudowłosa nie należy do imprezowiczek?

- Ale jest Angielką? - Mężczyzna, który zadał to pytanie, zerknął na zamknięte drzwi, zanim zabrał głos. Przyłapanie na plotkach o żonie szefa nie polepszyłyby jego szans na awans.

- Nie jestem pewien. Ma na imię...

- Diana. - Tej informacji udzieliła kobieta.

- Czy nie była przypadkiem modelką?

- Wątpię. Nie jest na to wystarczająco wysoka.

- Cóż, z tego, co słyszałam...

Mężczyźni pochylili się, by lepiej słyszeć kobietę, bo zniżyła głos do poufnego szeptu.

- Rozumiecie, nie wiem, na ile to pewne, ale kuzyn mojej przyjaciółki pracuje w londyńskim szpitalu, gdzie najwidoczniej pracowała Diana, kiedy poznała szefa.

- Jest lekarzem?

- Nie, pielęgniarką... Zajmowała się jego synem po tym zamachu terrorystycznym.

Rozległy się szepty, gdy obecni wspominali przerażający incydent.

- Uważam, że to było takie romantyczne - dodała marząco.

Jeden z mężczyzn, najmłodszy, który wcześniej próbował bronić swoich decyzji przed krytycyzmem szefa, zaśmiał się i stwierdził pogardliwie:

- Gianfranco Bruni nie ma w sobie ani krzty romantyzmu. Za parę lat prawdopodobnie wymieni ją na nowszy model.

Gdy Gianfranco wyjął komórkę i nie zobaczył na wyświetlaczu imienia Diany, musiał odwołać się do poważnie uszczuplonych zasobów samokontroli, by zachować choćby pozory spokoju.

Przynajmniej do chwili, gdy wyszedł z sali.

Znalazłszy się na korytarzu, zacisnął zęby i uderzył pięścią o pięść. Minęło czterdzieści osiem godzin i nic, ani słowa!

Równie dobrze mogła leżeć nieprzytomna w szpitalu. Weź się w garść, chło-



pie, pomyślał, odgarniając zmierzwione włosy z czoła i poprawiając krawat.

Niech ją diabli!

- Gianfranco!

Odwrócił głowę na dźwięk znajomego głosu i zmusił się do uśmiechu. W normalnych warunkach widok Angela Martinosa sprawiłby mu prawdziwą przyjemność.

- Angelo, co cię tu sprowadza? - spytał bez entuzjazmu.

- Zaryzykowałem i wpadłem. Powiedziano mi, że jesteś na zebraniu. - Uniósł pytająco brew i przyjrzał się twarzy przyjaciela. - Niezbyt przyjemnym, jak sądzę...?

I to był jeden z powodów, dla których Angelo był ostatnią osobą, którą w tym momencie chciałby spotkać. Trudno będzie zamydlić mu oczy, poza tym uważał, że przyjaźń daje mu prawo do wścibstwa.

- Wiesz, jak to jest - odpowiedział Gianfranco, ale wątpił, by szczęśliwy przyjaciel wiedział, jakim torturom emocjonalnym potrafi poddać męża żona.

Żona Angela najwyraźniej sądziła, że każde jego słowo jest prawdziwą perłą mądrości, tymczasem małżonka Gianfranca nigdy nie przegapiła okazji, by rzucić mu wyzwanie.

- Masz ochotę na kawę? - spytał Angelo.

Gianfranco potrząsnął głową.

- Właściwie nie - odpowiedział.

Dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na sto wzięłoby nogi za pas, ale nie Angelo.

- Nie mam co ze sobą zrobić. Kate i jej matka robią zakupy dla dziecka. Tylko im zawadzałem.

- Przepraszam, jestem dziś zawałony pracą. Wyskoczyłem tylko odebrać telefon od Alberta. Powinienem oddzwonić.

- Z trudem poznałem Alberta, gdy go zobaczyłem. Trzydzieści lat, a już jest

taki wysoki. Nie zazdroszczę mu okresu dojrzewania. To było piekło.

Gianfranco stłumił gorzki śmiech.

- Dla ciebie? Nie sądzę, chyba, że piekło nastolatka to zdobywanie wszystkich dziewczyn, na które ma ochotę i...

- Udawało mi się tylko dlatego, że ty im odmawiałeś - wtrącił jak zwykle praktyczny Angelo. - Kłopot z tobą, przyjacielu, że zawsze stawiałeś kobiety na piedestale.

Na krótko przed dwudziestymi urodzinami Gianfrancowi wydało się, że spotkał kobietę, której miejsce jest na piedestale. Kiedy zrozumiał, że za idealną twarzą o niewinnych oczach - barmanki z miejscowego hotelu - kryje się osoba bardziej zainteresowana jego seksualnymi wyczynami niż filozoficznymi rozważaniami i żalną poezją, było już za późno.

Zaszła w ciążę i ku przerażeniu rodziny ożenił się z nią, a w wieku dwudziestu lat został ojcem.

- Byłem uczuciowy. - Wzdrygał się teraz na wspomnienie chłopca, którym był. - I głupi.

- Byłeś romantykiem - odparował pobłażliwie Angelo. - A ja byłem płytki, ale teraz obaj jesteśmy starsi i mądrzejsi, nie wspominając nawet, że szczęśliwie żonaci. To był cudowny weekend, i z tego powodu tu jestem. Bardzo byśmy chcieli zrewanżować się za waszą gościnność. Kate chce wiedzieć, czy oboje będziecie wolni osiemnastego...?

- Osiemnastego... Ja chyba tak... nie... nie jestem pewny.

Angelo przyjrzał się uważniej przyjacielowi. Przez dwadzieścia pięć lat, odkąd go znał, nie widział, by Gianfranco nie był czegoś pewny.

- No więc, kiedy się upewnisz, poproś Dianę, żeby zadzwoniła do Kate. A jak się ma Diana? - rzucił od niechcienia.

Gianfranco spojrział przyjacielowi w oczy i skłamał bez zająknięcia.

- Dobrze.

Cóż, to właściwie nie było kłamstwo. Mogła się mieć dobrze. Mogła mieć się po prostu doskonale po opuszczeniu męża. Poczuł coraz silniejsze oburzenie połączone z pulsowaniem w skroniach, gdy przed oczami przemknął mu obraz Diany stojącej w drzwiach ich domu.

- Jesteś śmieszna.

Wysunęła podbródek i rzuciła mu gniewne spojrzenie. Miała szmaragdowe oczy, tak niesamowicie zielone, że gdy pierwszy raz ją zobaczył, uznał, że musi nosić szkła kontaktowe.

- Nie musisz się tak przejmować, Gianfranco. W końcu nie ma znaczenia, co zrobię.

- O czym ty mówisz?

- No cóż, ja nie jestem ważna. Jestem czymś tymczasowym, przechodniem, kimś, kto nie jest wystarczająco dobry, aby wziąć na siebie odpowiedzialność za twojego syna... Krótko mówiąc, jestem dość dobra, by ze mną spać, ale nie dość dobra, by zostać matką twojego dziecka!

- Totalna bzdura. W naszym małżeństwie nie ma nic tymczasowego.

Zmrużyła oczy i uniosła buntowniczo głowę.

- Więc chcesz mieć dziecko?

Zacisnął zęby i przypomniał jej:

- To ty mówiłaś, że nie musisz mieć dzieci, by czuć, że żyjesz pełnią życia.

Spojrzała na niego z pogardą.

- To było wtedy, idioto, kiedy sądziłam, że nie mogę ich mieć.

- Wiedziałaś, kiedy braliśmy ślub, że nie chcę mieć dzieci. Ja się nie zmieniłem.

- W tym sęk!

- Nie baw się ze mną w słowne gierki.

- Ja już w nic nie gram. Odchodzę.

Zauważył drżenie jej szczupłych pleców, gdy usiłowała otworzyć wielkie, intarsjowane dębiną drzwi. Skupił się na swoim gniewie, by powstrzymać chęć wzięcia jej w ramiona i otarcia łez, które spływały po jej policzkach. Staął za nią i położył dłoń na jej ramieniu.

- Przyznaję, masz talent aktorski, ale dosyć tego.

Nie odwróciła się, wyszeptała tylko:

- Żegnaj, Gianfranco.

I wyszła.

A on stał i patrzył, nie mogąc uwierzyć, że odeszła. Spodziewał się, że w każdej chwili wbiegnie przez drzwi, wyznając, że nie miała racji.

Ale nikt nie wbiegł.

Opuściła ich dom. Dom, na którym wycisnęła niezatarte piętno.

Przekonawszy się na własnej skórze, że romantyczna miłość to fikcja, rodzaj autohipnozy, nigdy nie przypuszczał, że znowu się ożeni.

Prawdę mówiąc, ożenił się, bo kobieta, której pragnął, nie zaakceptowałaby nic innego. I Diana była czymś, bez czego nie zamierzał żyć - przynajmniej na razie - choć nie wątpił, że przemożna chęć przywiązania jej do siebie z czasem osłabnie.

Intensywność tego uczucia wstrząsnęła nim, ale nie doszukiwał się w tym żadnej magii. Tak intensywne uczucia nie były trwałe; nie oznaczały spotkania bratnich dusz. Problemy pojawiały się, kiedy człowiek zaczynał wierzyć, że tak jest.

Nie zmienił opinii o małżeństwie. Nadal współczuł głupcom, którzy wkraczali w nie z mnóstwem nierealistycznych, sentymentalnych oczekiwań.

Kłopot w tym, że ludzie zapominali, iż małżeństwo jest umową prawną. Zamierzał wypełnić swoją część umowy. Umowy, którą można unieważnić, jeśli zakłócona zostanie równowaga pomiędzy za i przeciw.

Za drugim razem jego oczekiwania były bardziej realistyczne - ale nie sądził, by realizm oznaczał przewidywanie, że po upływie roku żona zmieni reguły gry.

- Wydawało się nam, że była trochę... milcząca?

Gianfranco potrząsnął głową, by uwolnić się od obrazów, które miał przed oczami. Wzruszył lekceważąco ramionami i udał, że nie widzi pytania w oczach przyjaciela. Gdyby miał się komuś zwierzyć; to tylko Angelowi, ale nie miał zwyczaju obarczać innych swoimi problemami.

- Była trochę zmęczona.

Angelo uśmiechnął się szeroko.

- Dziewięć miesięcy temu Kate miała podobne objawy.

Gianfranco zacisnął zęby.

- Diana nie jest w ciąży.

Angelo wszedł do windy, na jego twarzy widać było zastanowienie.

- Przepraszam, w tej chwili wszystko kojarzy mi się z jednym.

Gianfranco rozluźnił pięści i zmusił się, by zareagować odpowiednio do sytuacji.

- Jak czuje się Kate?

- Dobrze. Pozdrów od nas Dianę. Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się mniej... zmęczona.

Gianfranco skinął z roztargnieniem głową, myśląc, że ta wiadomość jest mniej ważna od wielu spraw, które będzie musiał omówić z żoną, kiedy ją zobaczy.

Układając sobie w myślach, co jej powie, wszedł do gabinetu i wybrał numer syna. Ponieważ nie skoncentrował się w pełni na tym, co mówił Alberto, z początku uznał, że się przesłyszał.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że uciekłem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gianfranco przeczesał włosy palcami i spojrzał w lustrzaną powierzchnię szafy ściennej. Pomimo połączonych wysiłków osób mu najbliższych we włosach spoglądającego na niego mężczyzny nie było pasm siwizny.

Ale to mogła być tylko kwestia czasu.

- Zakładam, że to jakiś żart?

Całkiem logiczne założenie. Zerwawszy z rodzinną tradycją, wysłał syna do szkoły we Florencji. W tym momencie Alberto był na szkolnej wycieczce w Brukseli. Pod bacznym nadzorem nauczycieli uczniowie mieli tam obserwować funkcjonowanie Parlamentu Europejskiego.

- Na razie jestem w Calais, ale prom odbija już za chwilę.

Patrząc przez okno na ruch uliczny, Gianfranco potrząsnął głową. Nadal był bardziej zirytowany niż zaniepokojony.

- Jesteś w Brukseli.

- Nie, w Calais.

Poczuł, że niepokój zaczyna brać górę nad irytacją.

- W Calais?

- Mówiłem ci przecież, że uciekłem.

Poczuł, jak mięśnie brzucha zaciskają mu się z lęku, gdy uświadomił sobie, że to nie wypaczone poczucie humoru nastolatka, lecz prawda.

- Jesteś w Calais...? - Próbował ułożyć sobie to wszystko w głowie.

Jak trzynastoletni chłopak, który powinien przebywać w Brukseli pod opieką nauczycieli, mógł znaleźć się w Calais?

Przemknęła mu przez głowę myśl o porwaniu, ale natychmiast ją odrzucił. Głos Alberta nie był głosem przerażonej ofiary.

- Uciekłeś? Ode mnie? - Dlaczego nie? To już wchodziło w modę. Jeśli to prawda, to kiedy dostanie w swoje ręce Alberta, nie będzie mu tak wesoło.

- Już to mówiłem. Więc jeśli szkoła skontaktuje się z tobą, powiedz, że nic mi nie jest. Mogli się zorientować, że zniknąłem.

- Mogli się zorientować! - wykrztusił Gianfranco. Odsunął na bok myśl o tym, co powie nauczycielom, którzy tak zaniedbali swoje obowiązki. Miał do przemyślenia ważniejsze sprawy. - Jak dotarłeś do Calais? Jesteś sam?

- Złapałem okazję.

Gianfrancowi krew zastygła w żyłach.

- Jechałeś autostopem?

Nieczuły na przerażenie w głosie ojca nastolatek rzucił z rozdrażnieniem:

- Tato, zwykle nie jesteś taki niepojętny. Wiem, co sobie myślisz, ale kierowca tej ciężarówki był naprawdę porządnym facetem, a nie żadnym zboczeńcem. Powiedziałem mu, że mam siedemnaście lat i uwierzył mi.

Gianfranco przełknął przekleństwo i wzniósł oczy do nieba.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedział powoli.

- Nie mogę. Bateria mi pada. Nie martw się, tatku, potrafię zadbać o siebie.

- Czy będę natrętny, jeśli spytam, dlaczego uciekasz?

- Ty możesz rozwodzić się z Dianą, ale ja nie.

- Rozwodzić! - ryknął Gianfranco. - Nie będzie żadnego rozwodu.

- Właśnie rozwalileś mi błonę bębenną. A jeśli ktoś mnie zapyta, to powiem, że wolę mieszkać z nią.

- Bardzo ci dziękuję - wtrącił ironicznie Gianfranco. - Pozwól, że ci znowu przypomnę: nie było mowy o rozwodzie. I nie będzie.

- Na razie - odpowiedział ponuro syn. - Ale nie trzeba być geniuszem, by zobaczyć, co by się stało, gdyby zostawić sprawy wam obojgu. Więc uznałem, że potrzebujecie pomocy.

- I ta ucieczka ma nam pomóc? - Gianfranco próbował zapanować nad sobą, jednocześnie obliczając pospiesznie, jak szybko zdoła dotrzeć do Anglii, zanim syn znowu wpadnie w tarapaty.



- Ale gdzie, albo raczej, do kogo uciekam? Chcę powiedzieć, że jako odpowiedzialny ojciec musisz po mnie przyjechać, to całkiem naturalne, i nikt nie powie, że się za nią uganiaasz. Przypuszczam, że w jakieś dwadzieścia sekund po tym, gdy się zobaczycie, będziecie napaleni na siebie.

Niewiele rzeczy mogło tak zaszokować Gianfranca, by zapomniał języka w gębie, ale dokonała tego ta nonszalancka przepowiednia. Manipuluje mną trzynastolatek. Zaśmiał się wbrew swej woli. Jeśli syn teraz jest taki, to co z niego wyrośnie, gdy skończy osiemnaście lat?

Słyszając śmiech ojca, chłopiec odetchnął z ulgą.

- Wiedziałem, że spodoba ci się mój plan. Ekstra, nie? Byłbym zapomniał, tato. Zadzwoń do Diany i poproś, żeby wyszła po mnie na przystań. Wydaje mi się, że przybijamy około szóstej. Słuchaj, bateria mi siada. Odezwę się później...

Rozmowa się urwała i po krótkiej przerwie Gianfranco wybrał inny numer.

Diana wyciągnęła kolejny pączek z torby, którą Sue rzuciła na tacę z herbatą.

- Zwykle ich nie jadam - powiedziała, odgryzając duży kęs.

- Potrzebujesz cukru. Uwierz mi, jestem pielęgniarką - zapewniła Sue i sama się poczęstowała. - Słuchaj, Diano, myślę, że wszystko zostało rozdmuchane. Jesteście sobie przeznaczeni. Daj mu trochę czasu, a gwarantuję, że zmieni zdanie co do dzieci. On cię kocha.

- Gianfranco mnie nie kocha. Nigdy nie udawał zakochanego, nawet gdy się oświadczał - stwierdziła Diana przerywanym z emocji głosem.

Prawdę mówiąc, dał jasno do zrozumienia, że romantyczna miłość to utrapienie, na które nie ma miejsca w jego życiu.

Sue patrzyła na nią ze współczuciem, ale bez zaskoczenia.

- Niektórym mężczyznom trudno jest wyrażać uczucia.

Diana uniosła powieki. Zielone oczy spochmurniały, z ust wyrwał się dziwny śmieszek.

- Ale nie Gianfrancowi - zapewniła. - Po prostu nie czuje nic, co mógłby wyrazić... W każdym razie, nie do mnie - dorzuciła ponuro.

Dawno zaczęła podejrzewać, że Gianfranco nie tyle nie wierzył w miłość, ile w to, że mógłby obdarzyć inną uczuciem, które żywił do pierwszej żony, miłości jego życia.

Jak to zakochana, zignorowała ostrzegawcze sygnały i uznała, że nauczy go znowu kochać.

- Kiedy się oświadczał, powiedział, że mnie nie kocha.

Przyjaciółka pokręciła głową z niedowierzaniem.

- A ja myślałam, że wszyscy Włosi powinni być romantyczni! - wykrzyknęła z rozczarowaniem.

- On nadal kocha matkę Alberta. Była piękna, doskonała i...

- Nie lubię truizmów, ale tego ideału już z nami nie ma.

Diana wykrzywiła usta w gorzkim uśmiechu.

- Próbowalas kiedyś rywalizować z duchem?

Na twarzy Sue pojawiło się współczucie.

- Często ją wspomina?

Diana pociągnęła nosem i pokręciła głową.

- Nigdy. Sama widzisz - dodała, zauważywszy minę Sue. - Też myślisz, że to zły znak.

- Niekoniecznie.

- Carla mówi, że to dla niego zbyt bolesne. Że Sara była jego bratnią duszą, nigdy się nie kłócili i ona...

- Rozumiem - wtrąciła szybko Sue. - Ten facet ma solidny bagaż emocjonalny i do tego syna. - Przygryzła nerwowo wargę, przyglądając się uważnie zasmuconej twarzy przyjaciółki. - Mój Boże, Diano, musiałaś za niego wychodzić? Nie mogłaś po prostu z nim sypiać?

- To właśnie mi proponował.

Oczy Sue zrobiły się wielkie jak spodki.

- A ty odpowiedziałaś...?

- Oczywiście, my już... - Diana urwała i zarumieniła się. Sue z trudem powstrzymała uśmiech. - Niepotrzebnie zrobił wielki problem z tego, że mając dwadzieścia sześć lat, byłam dziewicą.

- Gianfranco był twoim pierwszym kochankiem?

Diana zagryzła usta i przytaknęła.

- A niech to!

Obie sięgnęły jednocześnie po paczka. Zadzwoił telefon. Sue miała zamiar go odebrać, ale Diana krzyknęła gwałtownie:

- Nie, zostaw!

Przyjaciółka wzruszyła ramionami. Zaciskając zęby, Diana odczekała dziesięć sekund, potem poddała się i podniosła słuchawkę.

- Halo.

- Diana...

Wypuściła powietrze z płuc i wytarła zwilgotniałą dłoń o udo.

- Cześć, Gianfranco, jak się czujesz?

- A jak mam się czuć?

Skrzywiła się, słysząc ten uszczypliwy ton, i poczuła, jak narasta w niej gniew i uraza. Jak gdyby tylko on cierpiał; jak gdyby nie spędziła dwóch dni w piekle.

- Skąd mogę wiedzieć? Trudno jest interpretować milczenie. Czuję się ogromnie zaszczycona, że znalazłeś chwilę, aby sięgnąć po słuchawkę.

Zapadła długa cisza, wystarczająca, by Diana pożałowała pośpiesznej odpowiedzi.

- Więc tęskniłaś za mną.

Wydawał się tak zadowolony z siebie, że gdyby nie dzieliły ich setki mil, chętnie by mu przyłożyła.

- Prawdę mówiąc, byłam zbyt zajęta, żeby za tobą tęsknić. Chodziłam na za-

kupy i do restauracji, spotykałam się ze starymi przyjaciółmi. Właśnie wychodziłyśmy. Zawróciłeś mnie od drzwi.

Po drugiej stronie słuchawki Gianfranco złamał trzymany w palcach ołówek.

- Cóż, gdybyś mogła wykroić kilka chwil ze swego przeładowanego harmonogramu...?

Jeśli dzwonił, by prosić, aby wróciła, co miała zrobić? Oczywiście, może chciał poinformować ją, że to koniec. Ta druga możliwość niemal pogrążyła ją w całkowitej panice.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, Gianfranco, to mów. - W duchu powtarzała sobie, że zniesie wszystko, co jej powie.

- Mamy problem, Diano.

Zamknęła oczy, przekonana, że już wie, co usłyszy.

Zawsze się zastanawiała, co będzie czuć, gdy do tego dojdzie. Teraz wiedziała: nic. Była całkiem odrętwiała.

- Cóż, mogło być gorzej. Mogłeś wysłać mi mejla. - Może kiedyś da się w ten sposób legalnie zakończyć małżeństwo. Schludnie i beznamiętnie, bez konieczności oglądania swego partnera.

- Mejla? O czym ty mówisz? Nie, nie odpowiadaj, nie ma na to czasu. Chodzi o Alberta.

- Alberta? - powtórzyła. - Nie o rozwód?

- Rozwód? - W słuchawce usłyszała grad włoskich słów, których nie uczono na przyzwoitym kursie językowym. - Rozmawiałaś z Albertem?

- Nie - odpowiedziała i odwróciła się plecami do dziko gestykującej Sue, żeby móc się skupić na jego słowach.

- Alberto uciekł.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens tych słów. A wtedy krew odpłynęła jej z twarzy. Zachwiała się.

- O mój Boże, nie, czy on...? Jak dawno temu? Policja... - Opadła na krzesło,

które podsunęła jej Sue i wyszeptała: - Niedobrze mi.

Sue wyjęła słuchawkę z jej bezwładnych palców i z wojowniczym błyskiem w oczach przystąpiła do ataku.

- Coś ty jej powiedział, do cholery? Nie, wcale nie jest w porządku!

- Nic mi nie jest. Sue, możesz mi oddać...?

- Akurat, nic ci nie jest! Ona omal nie zemdląca, ty skończony idioto.

Diana jęknęła, próbując opanować mdłości. Pomimo najlepszych intencji Sue tylko pogorszyła sytuację. Mogła sobie wyobrazić, jak w normalnej sytuacji Gianfranco zareagowałby na nazwanie go skończonym idiotą. Ale to nie była normalna sytuacja - jego syn zginął.

Szarpana wyrzutami sumienia, że nie było jej przy nim, gdy najbardziej tego potrzebował, podniosła się niepewnie na nogi. To nie była odpowiednia chwila na mdlenie.

Sue urwała gwałtownie kolejną oskarżycielską tyradę.

- O Boże, tak mi przykro. Kiedy... jak...? - I zaczęła słuchać. - Diano, nic mu nie jest. Zadzwoił do tatusia z Calais.

Z westchnieniem ulgi Diana wyrwała słuchawkę przyjaciółce.

- Naprawdę? Alberto jest bezpieczny?

- Nic mu nie jest, *cara*, choć to się zmieni, gdy dostanę go w swoje ręce. -

Diana zaśmiała się na to gniewne stwierdzenie. - Zboczył trochę z trasy szkolnej wycieczki i wylądował w Calais. Musisz przyznać, że chłopak jest pomysłowy. Dzwonił z promu. Najwyraźniej jest w drodze do Anglii.

- Do licha, co go napadło, żeby coś takiego zrobić? - spytała zaskoczona. Alberto był chyba najbardziej zrównoważonym nastolatkiem, jakiego znała. - To takie do niego niepodobne.

- Kto wie, dlaczego nastolatek coś robi?

Jakiś ton w głosie Gianfranca podsunął jej myśl, że może nie powiedział jej wszystkiego. Poczwała ból, że znowu ją od siebie odsuwa.

- Mogę coś zrobić?

- Tak, dlatego dzwonię.

Nie dlatego, że chcesz usłyszeć mój głos. W ślad za tą myślą pojawiły się wyrzuty sumienia. Jaka ze mnie samolubna, egocentryczna kobieta, pomyślała z odrazą.

- Zrobię wszystko - wypowiedziała te słowa z większym naciskiem, niż zamierzała.

- To pochopne stwierdzenie.

- Ale szczerze. Wiesz, że ja też kocham Alberta.

- Wiem. On także wyraża się o tobie w superlatywach. - Tym razem była pewna, że w głosie Gianfranca wyczuwało się napięcie.

- Spróbuj się nie denerwować - powiedziała, bo nie potrafiła wymyślić nic innego poza „kocham cię”.

- Wysyłam po niego Eduarda z autem. Przyjedzie promem za jakieś pół godziny. Mogłabyś odebrać go z przystani i zabrać do domu?

- Tak, oczywiście.

- Zjawię się najszybciej, jak potrafię.

- Dobrze, więc do zobaczenia - próbowała naśladować jego rzeczowy ton, ale podejrzewała, że jej się nie udało.

Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Sue:

- Wiesz, o co chodzi?

Sue przytaknęła.

- Masz nie odstępować dzieciaka, dopóki jego tatuś nie przyjedzie.

Diana skinęła głową.

- A co potem?

- Potem, jak sądzę... - Wzruszyła szczupłymi ramionami. - Nie mam pojęcia - przyznała. - Alberto powinien być tu za pół godziny. Chyba lepiej będzie, jeśli zabiorę rzeczy.

- Swoją torbę podróżną znajdziesz w mojej sypialni.

- Dziękuję.

Sue podążyła za nią do sypialni i przyglądała się, jak Diana rozsuwa zamek błyskawiczny i przerzuca zawartość torby.

- Więc już tu nie wrócisz?

- Myślę, że to zależy.

- Od tego, czy wybierzesz Gianfranca czy dziecko?

Słyszając to bezceremonialne sformułowanie, Diana pobladła.

- Wiesz, nigdy nie podejrzewałam, że chciałabyś mieć dziecko. Sądziłam, że pogodziłaś się z sytuacją.

- Tak było, albo przynajmniej tak uważałam. Może po prostu nie spotkałam wcześniej mężczyzny, z którym chciałabym mieć dzieci.

- Naprawdę go kochasz, co?

Diana zaśmiała się, wyciągnęła z torby szal, zebrała włosy z tyłu głowy i przewiązała je.

- On jest jedyną osobą, która tego nie wie. Co za ironia, zważywszy, że ma umysł ostry jak brzytwa.

- Może byś go oświeciła?

Diana odwróciła się i obrzuciła chętną do pomocy przyjaciółkę niedowierzącym spojrzeniem.

- To ostatnie, co chciałby usłyszeć.

- Może powinien. A co z tym leczeniem bezpłodności?

- Chyba będę musiała o tym zapomnieć.

- A mogłabyś?

Diana zmarszczyła z rozpaczą czoło i wyznała:

- To nie będzie łatwe. O wiele łatwiej było zaakceptować, że nigdy nie urodzę dziecka, kiedy wiedziałam, że nie ma nadziei, ale teraz...

Urwała, nie mogła mówić dalej, łzy odebrały jej głos.



Wizyta u specjalisty od niepłodności otworzyła przed nią mnóstwo możliwości, o których przedtem nie pozwalala sobie myśleć.

- Małżeństwo wymaga kompromisu - powiedziała, pragnąc przekonać w równym stopniu siebie, jak i Sue.

W połowie drogi do drzwi przystanęła i obejrzała się, z oczami przepęlnionymi łzami, którym nie pozwalała spływać.

- Wiesz, za każdym razem, gdy czuję, że zbliżam się do niego, on mnie odpycha. Jemu nie zależy na mnie tak jak... - urwała gwałtownie. - Lepiej zejść na dół i poczekam na Eduarda.

Była już na schodach, gdy dogonił ją głos Sue, odbijający się echem od betonowych ścian.

- Może zależy mu za bardzo i właśnie tego się boi!

Sue miała dobre intencje, ale nie знаła Gianfranca.

On nie bał się niczego.

Limuzyna już na nią czekała. Kierowca wyskoczył, gdy tylko ją zobaczył. Wziął od niej torbę, uprzejmie wypytyjąc o zdrowie.

Usiadła z tyłu i powiedziała:

- Dzień dobry, Eduardo.

Gdy silnik zaskoczył, nie mogła powstrzymać wspomnień o tym, jak pierwszy raz jechała tym autem. To był dzień, w którym wiele wydarzyło się po raz pierwszy. Pierwszy raz podróżowała limuzyną i po raz pierwszy była z mężczyzną.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Prawdę mówiąc, ten dzień zaczął się koszmarne. Jeden z pacjentów Diany, miły starszy pan, dochodzący do zdrowia po operacji serca, niespodziewanie zmarł.

Nie miała ochoty na pogawędki w przebieralni, śpieszyła się, mając nadzieję, że złapie wcześniejszy autobus do domu. Padał deszcz, zatrzymała się więc na chwilę w wahadłowych drzwiach głównego wejścia, by założyć na głowę kaptur kurtki.

Widok szarych chmur nie poprawił jej nastroju. Gotowała się właśnie do przebiegnięcia przez ruchliwą ulicę do przystanku autobusowego, gdy czyjaś dłoń spoczęła na jej ramieniu.

Odwróciła się i jej wzrok zatrzymał się na środkowym guziku drogiej skórzanej kurtki. Wiedziała, że pod kurtką jej właściciel nosi jasnoszary kaszmirowy sweter.

W minionym tygodniu spotykała Gianfranca Bruni każdego dnia. Mogła na własne oczy widzieć, jak szybko goi się rana, którą zszyla. Była też w stanie obserwować jego przywiązanie do syna oraz umiejętność obywania się małą ilością snu.

Siedział przy łóżku syna nieprzerwanie przez trzydzieści sześć godzin, zanim w końcu oddalił się na czas wystarczający, by wziąć prysznic, przebrać się w czyste ubranie i ogolić.

Jak tylko rozeszła się wieść o jego obecności, z całego szpitala zaczęli ściągać ludzie pod najbłahszymi pretekstami, dopóki John nie ogłosił, że jego oddział to nie ZOO i każdy, kto przyjdzie tu bez ważnego powodu, będzie się musiał solidnie tłumaczyć.

Choć Gianfranco oddalał się ze szpitala na bardzo krótko, nadal promieniował niespokojną żywotnością. Niejeden raz, gdy Diana kończyła dyżur, marzyła, by mogła zaczerpnąć trochę nagromadzonej w nim energii. Jednak przeważnie starała

się o nim nie myśleć, ponieważ był bardzo niepokojącym mężczyzną.

- Panie Bruni.

Wilgoć na jego twarzy i przyklejone do czaszki ciemne włosy sugerowały, że stał tu przez jakiś czas.

- Mam na imię Gianfranco. Alberto mówi do ciebie po imieniu? Diana?

Skinęła głową, trudno jej było odwzajemnić jego spokojne spojrzenie, ale przekonała się jednocześnie, że nie byłaby w stanie oderwać wzroku od tego szcuplego, jakby rzeźbionego oblicza, nawet gdyby od tego zależało jej życie.

- Tak.

- Wracasz do domu?

Przytaknęła.

- I jesteś zmęczona, głodna, ponieważ przepracowałaś przerwę obiadową. Oraz zastanawiasz się - dodał z wilczym uśmiechem - skąd to wszystko wiem.

Otworzyła usta.

- Skąd pan wie?

- Obserwuję cię.

- Pochlebiłoby mi to, gdyby było tu jeszcze coś innego do obserwowania - próbowała zbyć jego słowa śmiechem.

- Miło jest patrzeć na piękną kobietę.

- Na mnie?!

Zareagował śmiechem na ten okrzyk zaskoczenia.

- O wiele bardziej wolę patrzeć na ciebie niż na twojego przyjaciela, tego muskularnego szefa pielęgniarek. Jesteście może parą?

- Z Johnem? - Naprawdę zaskoczyła ją ta sugestia. - Nie, oczywiście, że nie.

- On też cię obserwuje.

- To śmieszne - odparowała z irytacją.

- Biedny John - powiedział cicho. - A teraz, gdy ci to uświadomiłem, wiesz, że mam rację. Nie ma co zaprzeczać. Masz najbardziej otwartą twarz, jaką wi-

działem.

Powiedział to w taki sposób, jakby to była wada, i Diana była skłonna zgodzić się z nim. W tej chwili przelatywały jej przez głowę myśli, o których sama wolała-by nie wiedzieć. Perspektywa, że mogłaby je zdradzić, budziła w niej przerażenie.

- Myli pan życie z operą mydlaną. Najwyraźniej ponosi pana wyobraźnia.

Kąciki wyrazistych ust uniosły się w leniwym, zmysłowym uśmiechu. Nie odważyła się przeanalizować błysku w jego oczach, z jakim przyznawał jej rację.

- Możliwe, że masz słuszość i wyobraźnia nie zastąpi rzeczywistości. Nie wtedy, gdy staje się boleśnie frustrująca... - szepnął.

- Szczerze mówiąc, panie Bruni, uważam, że rzeczywistość rzadko dorównuje wyobraźni. - Na przykład jego usta. To niemożliwe, by całował tak wspaniale, jak to sugerowały te zmysłowe wargi.

- To nie najlepiej świadczy o mężczyznach w twoim życiu.

Chwilę zabrało jej zrozumienie, co miał na myśli, a wtedy zaczerwieniła się.

- Nie mówiłam o seksie!

- Oczywiście, że nie - uspokoił ją. Wydawało się, że bawiło go jej oburzenie. -

O wiele bezpieczniejszym tematem jest jedzenie. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy wpaść gdzieś i coś zjeść.

Zamrugnęła oczami, zbита całkowicie z tropu.

- Zaprasza mnie pan na kolację?

- Oboje jesteśmy głodni, a ja jestem tu sam... - Powiedział to tonem człowieka, który nie ma na świecie życzliwej duszy.

Było to tak nieprawdopodobne, że się roześmiała.

- A nie może pan podnieść słuchawki albo po prostu strzelić palcami i zapewnić sobie cudowne, miłe, inteligentne towarzystwo?

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Pomyślałem, że warto zagrać kartą samotności - przyznał bez śladu skruchy.

- Ty jesteś miłym i inteligentnym towarzystwem.

- Pochlebstwa nic panu nie dadzą.

- A więc? - Uniósł brew. - Idziesz?

- Nie ma mowy.

- Dlaczego?

- Ja jestem w mundurku, a pan... - Urwała i zmierzyła go wzrokiem.

Był naprawdę najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała.

Drgnął mu kącik ust.

- A ja co, Diano?

Spuściła wzrok. Nawet lista zakupów odczytana takim głosem wydawałaby się seksowna.

- Tacy jak pan nie chodzą na kolacje z takimi jak ja.

- Czy zabrania tego prawo?

Powinno, pomyślała Diana.

- To brzmi, jakbyśmy należeli do różnych gatunków.

- Równie dobrze mogłoby tak być, panie Bruni.

- Gianfranco.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, ale nie musi zabierać mnie pan na kolację tylko dlatego, że pan na mnie wpadł. Większość krewnych wyraża swoją wdzięczność za pomocą bombonierki z cukierkami.

- Nie mam już cukierków. - Pokazał obie dłonie, by to zademonstrować.

Zerknęła na wyciągnięte ku niej długie palce.

- I wcale nie wpadłem na ciebie przypadkiem, tylko specjalnie czekałem.

Spojrzała mu w twarz.

- Dlaczego miałby pan to robić? - spytała, czując niepokojący ucisk w żołądku. A jednocześnie narastał w niej równie niepokojący dreszcz podniecenia.

- Dlaczego zwykle mężczyźni czekają na ciebie, Diano?

- Nie czekają. I niech pan przestanie tak mnie nazywać!

- Czy to nie jest twoje imię?

- Nie wtedy, gdy pan je wymawia w ten sposób. Brzmi, jakby należało do kogoś innego.

- Dobrze, więc zachowaj się jak ktoś inny i wsiądź do samochodu.

Zwróciła głowę w kierunku, który wskazał.

- Jakiego samochodu?

Jak mogła go nie zauważyć?

Limuzyna z przyćmionymi szybami, zaparkowana obok nich przy krawężniku, była przeogromna.

Poczuła, że położył dłoń na jej ramieniu, ale nie miała nic przeciwko temu, by spoczywała tam przez jakąś minutę.

- Potrzebujesz czegoś na rozweselenie.

Ich spojrzenia się spotkały. Diana poczuła, że jej opór słabnie, gdy wpatrywała się w te ciemne, aksamitne oczy.

- Nie potrzebuję rozweselenia - zaprotestowała, uwalniając ramię. - Naprawdę.

- Ale ja potrzebuję - odparował.

Coś w jego głosie sprawiło, że Diana przestała się odsuwać. Uniosła powoli wzrok i zmarszczyła z niepokojem brwi, gdy po raz pierwszy zauważyła cienie pod jego oczami i głębokie linie, które napięcie wyryło koło jego ust.

Jej wojowniczość natychmiast znikła. Niektórym ludziom modlitwa, adrenalina i kofeina pomagały z początku przetrwać krytyczny etap choroby ich bliskich, ale potem, kiedy niebezpieczeństwo minęło, dopadała ich emocjonalna reakcja. Jej efekt często mógł być druzgocący.

- Musi być pan bardzo zmęczony. - Ten facet naprawdę nie potrzebuje opieki, odezwał się w niej głos rozsądku.

- Przydałaby mi się zmiana otoczenia. Myślałem, że się ucieszysz, że słucham twoich rad. Czy nie to przekazywałaś mi od kilku dni przez swego doskonałego przełożonego? - spytał z niewinną miną. - Człowiek bardziej wrażliwy mógłby po-

dejrząc, że nie miałaś ochoty ze mną rozmawiać...

- Sądziłam, że łatwiej panu będzie przyjąć radę od mężczyzny.

- Myślisz, że czuję niechęć do silnych kobiet? Prawdę mówiąc, lubię kobiety, które wiedzą, czego chcą, i nie boją się powiedzieć o tym mężczyźnie.

Być może widziała seksualny podtekst tam, gdzie go nie było. Ale i tak musiała dołożyć starań, by ukryć rumieniec.

- Doświadczenie nauczyło mnie, że w odpowiednich warunkach przyjmowanie rozkazów od kobiety może być bardzo miłe.

O nie, bez wątpienia był w tym seksualny podtekst! Zignorowała niebezpieczny przypływ podniecenia i rzuciła mu beznamiętne spojrzenie. Beznamiętne pozostało do chwili, gdy zauważyła błysk w ciemnych oczach.

- Proszę tak na mnie nie patrzeć!

W szpitalu ona panowała nad sytuacją; poza nim nie mogła ukrywać się za identyfikatorem. Ich role się odwróciły i to ją niepokoiło.

- Dlaczego?

- Bo tego nie lubię. - Nie było to do końca prawdą - „lubienie” miało niewiele wspólnego z dreszczykiem przebiegającym jej po plecach.

- Zjedz ze mną kolację.

- Nie będę dobrym kompanem.

- Zaryzykuję. Rozluźnij się. - Niemal się roześmiała, słysząc tę radę. Rozluźnienie się w obecności tego mężczyzny było po prostu niemożliwością. - Ty jesteś głodna, ja jestem głodny, w czym problem?

Odwrócił się, by rzucić kilka pospiesznych słów po włosku do kierowcy, zanim otworzył tylne drzwi samochodu przed Dianą.

Po chwili wahania wśliznęła się do środka. Przecież to tylko kolacja, a czasem człowiek ma ochotę na odrobinę niebezpieczeństwa. W domu czekało na nią tylko jakieś danie przeznaczone do odgrzania w mikrofalówce.

- Dobry Boże! To jest większe od mojej kuchni! - zawołała, zbyt zaskoczona



ogromem luksusu, by zachować obojętność.

- Byłbym marnym biznesmenem, gdybym...

- A nie „bezwzględny geniusz finansowy”? - zacytowała z błyskiem w oku.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się smętnie.

- Podejrzewam, że ten cytat będzie mi towarzyszył do samej śmierci.

- Czy tak podróżują geniusze?

- Nie jestem geniuszem i zwykle uważam, że wygodniej jest korzystać z helikoptera.

Tą ripostą zmusił ją do śmiechu.

- A co z „bezwzględnym”? - spytała z zaciekawieniem.

Uśmiechnął się czarująco.

- Więc chcesz poznać człowieka, który kryje się za nagłówkami w brukowcach?

Potrząsnęła głową.

- Nie mam tyle czasu. - Ten mężczyzna był tak skomplikowany; podejrzewała, że musiałoby upłynąć wiele czasu, zanim by go poznała. - To po prostu zwykła randka z kolacją.

- To wcale nie musi być tylko jedna randka.

Próbowała zaśmiać się, by rozładować napięcie, które narastało w zamkniętej przestrzeni limuzyny, ale jej struny głosowe były sparaliżowane.

- Prawdopodobnie masz rację, że nie chcesz się do niczego zobowiązywać.

Poczekajmy i zobaczymy, co przyniesie dzisiejszy wieczór.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Pragnęła zapewnić Gianfranca, że ten wieczór niczego nie przyniesie, ale pulsujące we krwi podniecenie uniemożliwiło jej to. Serce waliło tak głośno, że z pewnością musiał je słyszeć.

Kilka chwil później luksusowa limuzyna zatrzymała się - bardzo gwałtownie, i równie gwałtownie Diana wystrzeliła do przodu. Krzyknęła odruchowo i zamknęła oczy, gdy wydawało się, że w żaden sposób nie uniknie zderzenia ze szklaną taflą, która oddzielała ich od kierowcy.

W ostatnim momencie poczuła, że coś szarpie ją w tył: wokół jej talii owinęło się przypominające stalową obręcz ramię i przytrzymało ją na fotelu.

Szklana tafla ześliznęła się w dół, odsłaniając zaniepokojone oblicze kierowcy.

- Bardzo przepraszam. Pies wybiegł mi przed maskę - powiedział. Mówił doskonałą angielszczyzną, ale z wyraźniejszym włoskim akcentem niż jego pracodawca.

- Ominąłeś go?

Kierowca przytaknął.

- Na szczęście mieliście zapięte pasy.

- Na szczęście - zgodził się Gianfranco, obrzucając ironicznym spojrzeniem skruszoną twarz Diany.

Tafla uniosła się i gdy kierowca wysiadł, aby otworzyć drzwi pasażerom, Gianfranco cofnął rękę.

- Zawsze zapinam pasy - powiedziała obronnym tonem.

- Jak widać, nie zawsze... - Oczy mu płonęły, koło zaciśniętych ust drgał mięsień, a siniaki na czole ostro kontrastowały ze śmiertelnie bladą skórą.

Wyglądał na rozwścieczonego.

W pierwszym odruchu chciała bronić się przed jego pogardliwym atakiem,

ale trudno jest bronić niewybaczalnego postępowania.

- Jak często widywałaś na izbie przyjęć pacjentów, którzy przebili głową przednią szybę?

Widząc wyraz jego twarzy, zaczęła podejrzewać, że był świadkiem takiego wydarzenia, może nawet sam go przeżył, co mogło tłumaczyć nieco zbyt gwałtowną reakcję.

- No dobrze, powinnam być rozsądniejsza - przyznała ze wstydem.

- Ta twarz mogła... - Jego pierś uniosła się, gdy wziął głęboki oddech, potem wyciągnął rękę i przyłożył wielką dłoń do jej policzka. - Następnym razem mogę nie być dość blisko, by cię uratować. Obiecuj - poprosił - że nigdy więcej tego nie zrobisz.

Otwarcie drzwi limuzyny rozproszyło ich uwagę i pozwoliło jej wyrwać się z pęt zmysłowego zniewolenia, które paraliżowało ją i nie pozwalało odwrócić wzroku.

Była tak wytrącona z równowagi, że kiedy wyszła z samochodu w wilgotny mrok, nie od razu zauważyła, że w pobliżu nie ma żadnych restauracji.

- To nie jest restauracja - powiedziała, obrzucając go oskarżycielskim spojrzeniem, kiedy podeszli do kolumnady wielkiego budynku w stylu georgiańskim, pod którą znajdowało się główne wejście.

- To mój dom.

- Które skrzydło?

- Całość.

Przewróciła oczami.

- Oczywiście.

Drzwi otworzyły się, zanim do nich podeszli. Ciemnowłosa kobieta około trzydziestki, ubrana w granatową spódnicę, uśmiechnęła się miło do Diany, która pod naciskiem dłoni spoczywającej na jej plecach weszła do eleganckiego holu, oświetlonego żyrandolami, zdominowanego przez szeroką klatkę schodową, pod

którą zmieściłaby się cała orkiestra.

Oszołomiona tym przepychem nie dosłyszała, jak Gianfranco przedstawił jej swoją gospodynię. Kobieta zamieniła z nim kilka słów po włosku, potem uprzejmie życzyła im dobrej nocy i znikła w jednych z wielu drzwi.

- Chodź.

Nie mając właściwie wyboru, zrobiła, jak kazał, choć jego despotyczne zachowanie działało jej na nerwy. Przeprowadził ją przez szereg drzwi, a potem długim korytarzem. Kiedy dotarli do jego końca, otworzył drzwi i dał znać, by weszła pierwsza.

Znalazła się w kuchni nieprzypominającej żadnej z tych, które widziała. Przesunęła dłonią po powierzchni wysokich szaf-spiżarni, wyczuwając palcami gładkość okładziny z dębu wielkolistnego.

- To kuchnia.

- Trafne spostrzeżenie - przytaknął, zerkając na nią z kpiącym uśmiechem, i zdjął kurtkę. - Lubisz risotto?

Wytrzeszczyła oczy, gdy otworzył drzwi olbrzymiej lodówki i zaczął wyjmować z niej różne produkty.

- Sam gotujesz?

- To cię dziwi?

- Szczerze mówiąc, dziwi mnie, że w ogóle wiesz, gdzie znajduje się kuchnia.

Zaśmiał się, delikatne linie wokół oczu pogłębiły się.

Ratunku, jakież on przystojny!

- Nie masz szefa kuchni?

- Mam kilku. Mam też kierowcę, ale to nie znaczy, że nie umiem prowadzić samochodu. Chociaż mój styl życia nie pozwala mi ćwiczyć sztuki kulinarnej tak często, jak bym chciał. Dlaczego to cię bawi? Nie wierzysz, że umiem gotować?

- Och, nie o to chodzi. - Była skłonna uwierzyć, że potrafił robić wszystko. - Masz kilku szefów kuchni i uważasz, że to normalne... Po prostu jesteś tak super-

bogaty... - Rozłożyła ręce i rozejrzała się po lśniącym, gustownym pomieszczeniu. - To jak gdybyś mieszkał na innej planecie.

Wzruszył ramionami.

- Mieszkamy na tej samej planecie. Rzeczy, które są w życiu istotne, nadal nie mają metek z ceną.

- W przeciwieństwie do tych drobiazgów - zauważyła, wskazując błyszczące, najnowocześniejsze wyposażenie.

- Mój szef kuchni lubi swoje gadzety, ale mam nadzieję, że nie stracę w twoich oczach, gdy zdradzę, że wolę mniej techniczne podejście. Ale dobry nóż to co innego. - Wyjął nóż z drewnianego stojaka i balansował nim lekko na dłoni.

Uznała, że im mniej będzie myśleć o jego dłoniach, tym lepiej.

Wzięła głęboki, uspokajający oddech, i wyznała:

- Wierzę ci na słowo. Ja radzę sobie tylko z daniami z mikrofalówki.

- Szczerze mówiąc, sam nie spędzam dużo czasu w kuchni. Ale jak już to robię, działa to na mnie odprężająco. Sekretem dobrego risotta są składniki - powiedział, podwijając rękawy.

- Mogę coś zrobić? - Na przykład upaść z uwielbieniem do jego stóp? - zasugerował złośliwy głos w jej głowie.

- Możesz zdjąć kurtkę i nalać nam wina... Chłodziarka z winem jest po twojej lewej ręce. I rozgość się. - Odsunął krzesło od stołu, na którym ułożył produkty.

Diana zdjęła wilgotną kurtkę, przerzuciła ją przez oparcie krzesła, uklękła i otworzyła chłodziarkę.

- Jakie wino mam wybrać? - spytała, zbita z tropu zadziwiającym asortymentem win.

- Po prostu zamknij oczy i wyciągnij cokolwiek - zaproponował, po czym znowu skupił uwagę na cebuli, którą siekał z zawodową prędkością. - Korkociąg - dodał, sięgnął do szuflady z prawej strony i rzucił go jej.

Po krótkiej szamotaninie otworzyła butelkę i napełniła dwa kieliszki. Siedząc

na krzesło, oparła się łokciami na stole. Trzymając w ręku kieliszek, przyglądała się, jak Gianfranco sieka, kroi i miesza z oszczędną zręcznością.

Nie minęło wiele czasu, a pomieszczenie wypełniło się kuszącym aromatem.

- Dobrze to wygląda.

Podniósł wzrok znad swego dzieła.

- Jesteś głodna?

Przytaknęła.

- To dobrze. - Podniósł łyżkę do ust i skinął z aprobatą głową. - Prawie gotowe. Jeśli będziesz mieszać, nakryję do stołu. Bez obaw, ona nie gryzie - dorzucił z rozbawieniem, gdy popatrzyła na łyżkę podejrzliwie. - O tak, po prostu mieszaj.

Podając łyżkę, musnął jej dłoń długimi palcami. Zareagowała na ten lekki kontakt przyływem pożądania, które wzbudziło w niej podniecenie i strach.

Co ja tu robię? To jego świat, ja do niego nie należę.

- Usiądź. - Odsunął krzesło i wskazał gestem, aby je zajęła.

Zapalił świece, które skądś wyczarował.

Dorzucił cichą muzykę i mamy klasyczną scenę uwodzenia.

Odrzuciła tę myśl lekkim potrząśnięciem głowy. Nigdy nie pociągały jej przelotne romanse; mroziła ją sama myśl o seksie bez miłości.

Więc dlaczego żar palił jej skórę?

- Naprawdę, nie musisz zadawać sobie tyle trudu z mojego powodu - powiedziała, wpatrując się z niepokojem w migotliwy płomień.

- To dla mnie przyjemność.

Odwróciła głowę i zobaczyła, że przyglądał się jej z kpiącym uśmiechem. Miała okropne wrażenie, że dobrze wiedział, co myślała.

- Ale skoro zadałem sobie tyle trudu, byłoby niegrzecznie z twojej strony, gdybyś nie spożyła owoców mojej ciężkiej pracy.

Unikając jego spojrzenia, zadrzała w środku, rzuciła mu półuśmiech i zajęła swoje miejsce.

Gianfranco usiadł naprzeciwko. Pochylił się, by dolać jej wina, ale potrząsnęła głową i szepnęła:

- Ja już dziękuję.

Zauważyła, że sam też sobie nie dolał. Nie sięgnął po widelec, oparł łokcie na stole, a brodę na dłoniach i czekał, by jako pierwsza spróbowała dania.

- I jak?

- Wspaniale - przyznała szczerze. - Masz zamiar wrócić dziś do szpitala?

Zaprzeczył.

- Nie, Alberto ogłosił niepodległość i przegonił mnie.

- Ma więcej odwagi niż my wszyscy.

Jedząc, poruszali równie bezpieczne, obojętne tematy. Diana zaczęła - nie odprezać się, ale mniej mieć się na baczności; rozluźniły się też jej mięśnie pleców. Ale przez cały czas miała świadomość, że Gianfranco Bruni to bardzo niebezpieczny mężczyzna, który przywykł zdobywać to, czego pragnął. A jeśli pragnie mnie?

Zaczerpnęła nerwowo powietrza i wstała tak szybko, że omal nie przewróciła krzesła.

- To było cudowne, ale już późno. Naprawdę muszę już iść.

Gianfranco odłożył na bok serwetkę i podniósł się na nogi z gracją, która charakteryzowała wszystkie jego ruchy.

- Jeszcze wcześniej - zaprotestował, obchodząc stół i zbliżając się do niej.

Stała z walącym sercem, skręcając w dłoniach białą, lnianą serwetkę.

- Naprawdę powinnam...

Przesunął kciukiem po jej pełnej dolnej wardze. Drgnęła gwałtownie i uniosła z zaskoczeniem zielone jak morze oczy.

- Twoje usta... sprawiają wrażenie takich miękkich i soczystych.

Ich oczy się spotkały; żar i pragnienie, które zobaczyła w jego ciemnych źrenicach, wywołały falę pożądania.



- Ten wieczór nie skończy się tak, jak przypuszczasz - wypaliła.

Uniósł kpiąco brew.

- Czyli jak?

Potrząsnęła głową i poczuła, że nie może złapać tchu.

- Nie jestem osobą, którą interesują przygody na jedną noc.

- Jedna noc by nie wystarczyła. - Przechylił głowę i obserwował jej zarumienioną twarz. - Zaszokowana? Krępuje cię mówienie o seksie.

- Cała ta rozmowa mnie krępuje.

- Wolałabyś, żebyśmy rozmawiali o pogodzie? Możemy, ale i tak oboje będziemy myśleć o seksie.

Uniosła podbródek.

- Mów za siebie.

- Rozczarowałaś mnie. Nie podejrzewałem, że możesz być hipokrytką.

Stała przed nim wyciągnięta jak struna, w palcach miętoszyła serwetkę.

- Nie jestem hipokrytką, ale nie mam też obsesji na punkcie seksu.

Prawdę mówiąc, było odwrotnie. Pochylił głowę, jego oddech poruszył jedwabiste włosy na jej policzku.

- Pragniesz mnie - powiedział niskim i cichym głosem. - I wiesz, że ja ciebie pragnę i podoba ci się to. Podnieca cię. Ja cię podniecam.

Potrząsnęła głową; wiedziała, że gdyby się odezwała, mogłaby dać do zrozumienia, że chce, aby nadal mówił jej te słowa.

Znowu potrząsnęła głową, przerażona intensywnością swoich uczuć.

- Przez cały ten tydzień chciałem cię pocałować. Zamierzam zrobić to teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu...?

W istocie nie spodziewał się, że odpowie mu „nie”, ponieważ przez całe jego życie kobiety odpowiadały mu „tak”. Podjęła ostatnią próbę ucieczki.

- Naprawdę jest już bardzo późno. - Sama mogła wyczuć brak przekonania w tym cichym proteście.

- Po co ten pośpiech? Nie masz jutro rannego dyżuru.

- Skąd wiesz?

- Sprawdziłem.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Kącik jego ust uniósł się w leniwym uśmiechu. Dotknął wskazującym palcem jej policzka.

- Informacja to władza, Diano.

Opuścił dłoń, ale nadal czuła pod skórą tajemnicze pulsowanie.

Uniosła głowę i spróbowała przybrać rozbawiony wyraz twarzy.

- Nie masz nade mną władzy. - Niestety, jej hormony nie były tak niezależne.

- Jaka szkoda, za to ty masz mnie w swojej ślicznej, drobnej garści.

Ujął ją za przegub i rozchylił jej zaciśnięte palce, niczym płatki kwiatu.

Odetchnęła głęboko i wyznała:

- Tak naprawdę to wcale nie chcę odejść.

Coś błysnęło w jego wzroku; prymitywna męska satysfakcja przebiła się przez uczucie, które trudniej było zidentyfikować.

- Więc zostań.

- Ale nie jestem nawet pewna, czy cię lubię.

Zaśmiał się, odrzucając w tył głowę i odsłaniając silną, opaloną szyję.

- Jeśli poczujesz się lepiej, to powiem, że przez pierwszą dobę byłem przekonany, że cię nie znoszę.

- Nie najlepiej to ukrywałaś. - Próbowała uśmiechnąć się i nie mogła; z emocji ścisnęło ją w gardle.

- Chciałem pójść z tobą do łóżka nawet wtedy, gdy cię nie lubiłem. - Wykrzywił wargi w uśmiechu. - Znowu wyglądasz na zaszokowaną.

Opuściła rzęsy. Poczowała podniecenie, co było jeszcze bardziej niepokojące.

Jej oddech stał się urywany, gdy Gianfranco pochylił się i przysunął głowę do jej twarzy. Z tak bliskiej odległości mogła widzieć złociste końce jego długich,

ciemnych rzęs i delikatną fakturę złotawej skóry.

Napięcie wywołało ucisk w dole brzucha, wargi rozchyliły się pod delikatnym, lecz stanowczym naciskiem jego ust.

Oddała mu pocałunek z niemal rozpaczliwą gorliwością.

Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, spojrzał jej w twarz.

- Jesteś wszystkim, co sobie wyobrażałem, a nawet o wiele, wiele więcej.

Mroczny blask pożądania, które widziała w jego oczach, sprawił, że zabrakło jej tchu i poczuła zawrót głowy, zanim jeszcze jego usta zaczęły zmysłowo dotykać jej miękkich warg.

- To za mało - jęknęła po kilku minutach.

Oderwał na chwilę usta i ciężko oddychając, przyglądał się jej zarumienionej, podnieconej twarzy.

- Za mało czego? - spytał.

Westchnęła i przesunęła czubkiem języka po zmysłowym zarysie jego górnej wargi.

- Ciebie - wyznała.

- Chcesz więcej mnie?

Otwierając szeroko oczy, uniosła głowę, by lepiej widzieć jego twarz.

- Nie, chcę cię całego.

Wydała cichy okrzyk zaskoczenia, gdy nagle porwał ją na rękę.

- Co robisz?

Podszedł do drzwi i otworzył je kopniakiem.

- Nie chcę, żebyśmy zrobili to pierwszy raz na kuchennym stole.

- Nie obchodzi mnie gdzie...

Czy naprawdę to powiedziała?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jesteśmy na miejscu. - Kierowca zerknął na zegarek. - Prom powinien przepłynąć za pięć minut. Chciałaby pani, żebym wyszedł po Alberta?

Diana powróciła z trudem i niechęcią do teraźniejszości, usiłując wyrwać się spod władzy erotycznych wspomnień. Potrząsnęła głową z uśmiechem zabarwionym poczuciem winy i dotknęła drżącą dłonią gorących, zarumienionych policzków.

Odchrząknęła, próbując odzyskać panowanie nad sobą, i odpowiedziała:

- Dziękuję, Eduardo. Sama po niego wyjdę.

Skoro nie mogła wziąć zimnego prysznica, przyda się jej odrobina świeżego powietrza.

W tej samej chwili gdy wysiadała z samochodu, Gianfranco spoglądał na zegarek i zjeżdżał na pas szybkiego ruchu na autostradzie. Dzięki prywatnemu odzutowcowi znalazł się w kraju przed synem i według swoich obliczeń - o ile nie natknie się na jakąś blokadę na drodze - powinien być w Londynie na całe pół godziny, zanim żona i syn dotrą do domu.

Twarz mu sposepniała, gdy wyobraził sobie czekającą go konfrontację.

Zachowała się źle. Ogarniał go gniew, ilekroć przypominał sobie jej niemądre postępowanie. Ale choć ją potępiał, wiedział, że i jego zachowanie także mogłoby nienajlepiej wypaść przy bliższej analizie.

Poślubił Dianę, wiedząc, że oczekiwała o wiele więcej, niż był zdolny czy skłonny jej ofiarować. Czy coś podobnego nie było nieuniknione?

Ale przecież znała zasady gry... I nie zamierzał przyznawać, że to, co do niej czuł, było czymś więcej, niż pożądaniem. Silnym pożądaniem, tak, ale niczym więcej. Odrzucał podstępą sugestią natarczywego głosu w swej głowie, że był samolubem, żeniąc się z nią.

Samolubem? Dał jej wszystko, o co prosiła - co nie znaczy, że prosiła o co-

kolwiek, poza jego wsparciem i radą w sprawie hospicjum.

Więc, jeśli poprosi, byś zwrócił jej wolność, dasz jej odejść? Pozwolisz, by znalazła godnego jej mężczyznę, gdyż zasługiwała na lepszego od ciebie?

Nigdy nie zapomni chwili, kiedy uświadomił sobie, że uwiódł dziewczę.

Kiedy trzymał Dianę w ramionach i mówił, że nigdy nie przyszło mu na myśl, że mogłaby być dziewczicą, potwierdziła swoją naiwność, mówiąc:

- Więc to zauważyłeś. Zastanawiałam się, czy zauważysz.

- Jak to możliwe? Masz dwadzieścia sześć lat. A sądziłem, że to ja późno zacząłem - mruknął pod nosem.

Przekreśliła się z kocią gracją, która go fascynowała, i przytuliła do niego z bardzo nie-dziewiczym brakiem skrępowania.

- To ile właściwie miałeś lat? - spytała i dorzuciła: - Boże, to takie wspaniałe, a ty jesteś skończenie piękny. - Jej entuzjazm był zaraźliwy. - Zamierzasz teraz zasnąć?

- Nie, nie zamierzam zasnąć - obiecał ze śmiechem.

Nigdy wcześniej śmiech nie kojarzył mu się z seksem. Dawno temu umarł w nim romantyczny chłopiec. Dla niego seks był wzajemnym zaspokajaniem odwiecznego pragnienia. A jeśli czasami, niezależnie od tego, jak wspaniałe były seks, odczuwał trudny do określenia zawód, nie analizował go ani nie sądził, że czegoś mu brak. Nie był człowiekiem skłonny do samoanalizy.

- Ile miałeś lat? - naciskała.

- Wydaje się, że jesteś zafascynowana moją seksualną historią.

- Fascynuje mnie wiele rzeczy w tobie - przyznała. - Ale zawsze sądziłam, że musiałeś bardzo wcześnie zacząć.

Doskonale świadomy, że mała dłoń spoczywa teraz na jego płaskim brzuchu, odpowiedział:

- Nie miałem wtedy dwudziestu sześciu lat. - Za wszelką cenę starał się nie myśleć o tamtym idealistycznym dziewiętnastolatku. - Jak to możliwe, że kobieta,

która tak wygląda, nigdy nie miała kochanka?

- Dziękuję. Bardzo miło, że tak mówisz. Masz wspaniałe maniery.

- Maniery? Ty naprawdę jesteś piękna.

Spojrzał głęboko w jej szmaragdowe oczy.

Nie odwróciła wzroku, odpowiadała na jego spojrzenie, choć w głębi oczu kryła się odrobina nieśmiałości.

- Bardzo piękna i godna pożądania. Pomyślałem tak, jak tylko cię zobaczyłem.

- A chcesz wiedzieć, co pomyślałam, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam? -

Zanim zdążył odpowiedzieć, potrząsnęła głową i dorzuciła ze smętnym grymasem:

- Albo lepiej nie pytaj. To nie było profesjonalne.

Obserwował, jak jej twarz poważnieje, a pomiędzy brwiami pojawia się zmarszczka, gdy dotknieła szwów, zamykających ranę zaczynającą się u linii włosów na prawej skroni i ciągnącej się aż do szczęki.

Złapał jej rękę i uniósł do ust.

- Jeśli już o tym mowa, to też nie jest zachowanie profesjonalne - powiedziała.

- Za to braki w doświadczeniu nadrabiałaś entuzjazmem.

Upłynęła sekunda, nim zrozumiała znaczenie jego uwagi. W następnej sekundzie otworzyła szeroko oczy i wyrzuciła z siebie z oburzeniem:

- Wiesz, co miałam na myśli! - Odsunęła się.

Potem, przysiadając na piętach, cisnęła w niego poduszką.

Budziła w nim pożądanie, które zagrażało jego samokontroli, którą zawsze się chlubił.

- Potrzebujesz tylko praktyki, ale dużo.

- I ty mi ją zapewnisz? - Zanim zdążył zadeklarować, że zrobi to z wielką ochotą, jęknęła nagle. - Nie, to nie w porządku!

- Nie w porządku? - Jego zdaniem, wszystko było w porządku.

- Pacjenci są podatni na wpływy - wyjaśniła z powagą. - Czasem przywiązują się do osób, które się nimi opiekują, wyobrażają sobie, że coś do nich czują. - Odwróciła wzrok. - Wykorzystywanie tego jest podłością... I nie mogę nawet twierdzić, że nie wiedziałam, co robię. Dobrze wiedziałam.

Dopiero po chwili zdołał właściwie zinterpretować jej cierpiący i poważny wyraz twarzy.

- Sądzisz, że mnie wykorzystałaś? - Musiał powstrzymać się od śmiechu, bo najwyraźniej ona podchodziła do sprawy bardzo serio. - Jeśli można kogoś oskarżyć, że wykorzystał sytuację, to tylko mnie. - Zbagatelizowała to przypomnienie machnięciem ręki. - I wytrąciła cię z równowagi śmierć pacjenta.

- Jestem pielęgniarzką i pracuję na oddziale, gdzie leżą ciężko chorzy. Pacjenci umierają.

- A ty zachowujesz obiektywizm... Chcesz, żebym w to wierzył? - spytał sceptycznie. - Obserwowałem cię. - Prawdę mówiąc, nie mogłem oderwać od niej oczu. - Emanujesz współczuciem.

Rzuciła mu zagadkowe spojrzenie.

- Czy to źle?

- Nie dla samotnego staruszka, którego odwiedzałaś w swój wolny dzień.

- Pan Chambers nie miał tu rodziny. Jego córka wyemigrowała, była w drodze do niego i...

- Nie musisz tłumaczyć się ze swego postępowania przede mną. Nie jestem twoim pacjentem.

- Ale twój syn tak.

- Już niedługo.

Przytaknęła.

- Wkrótce wrócisz do domu. - Nieoczekiwanie łzy zaczęły spływać z jej oczu.

- Mój Boże - jęknęła i zerknęła ze wstydem na Gianfranca, ocierając łzy. - Tak mi



przykro.

- Dlaczego płaczesz? - spytał, siadając.

Zwykle łzy były sygnałem, który przypominał mu, że powinien znaleźć się gdzie indziej. Miał cyniczne podejście do kobiecych łez, uważając, że mają więcej wspólnego z manipulacją niż uczuciami.

Ale prędko zaświtało mu w głowie, że w przeciwieństwie do dawnych kochanek, Diana nie zna się na manipulacji, nie ma też instynktu samozachowawczego.

Dłonie zacisnęły mu się w pięści, gdy pomyślał, że mogłaby wpaść jak niewinne jagnię w szpony jakiegoś drania, który wykorzystałby jej ufność.

Ktoś mógłby powiedzieć, że już to zrobiła. Odgonił tę myśl. Mężczyźni wykorzystują kobiety, gdy udają uczucia, których nie mają. On się w to nie bawił.

- Wcale nie płaczę. Och, Boże! - warknęła, obracając się gniewnie do niego. - Czy dziewczyna nie może pociągnąć nosem bez narażania się na przesłuchanie?

- Jesteś zdenerwowana i chcesz wiedzieć, z jakiego powodu. - Poczł się nie-swojo, gdy zrozumiał, że naprawdę chciałby to wiedzieć. - Żałujesz?

- Czy żałuję? - powtórzyła, zaskoczona tą sugestią, potem z lekką drwiną i rozbawieniem zapewniła: - Nic dalszego od prawdy.

Doznał przyływu ulgi, ale i zakłopotania z powodu dziwnej nutki w jej głosie.

- Więc dlaczego...?

Potrząsnęła w milczeniu głową i odwróciła się do niego plecami. Położył jej dłoń na ramieniu i odwrócił do siebie.

- Spójrz na mnie! - zażądał.

Usłuchała go po chwili. Ich oczy się spotkały, przez chwilę panowało milczenie, dopóki z jej gardła nie wyrwał się szloch. Płynnym ruchem zeskoczyła z łóżka, rude włosy opadały jej na ramiona niczym jedwabna przędza. Wydawało się, że nie uświadamia sobie swej nagości; stała przed nim drżąca, a blada skóra zdawała się

połyskiwać.

W tej chwili zrozumiał, że wspomnienie tego obrazu na zawsze pozostanie w jego pamięci.

- Bardzo starałam się zachować jak dorosła, ale skoro chcesz wiedzieć, w porządku! Płakałam, bo będę tęsknić za tobą, gdy wrócisz do domu. - Zaciśnęła mocno powieki i potrząsnęła głową, potem przeszła go wyzywającym spojrzeniem. - I zanim mi to powiesz, tak, wiem, jak to głupio brzmi i jaka jestem śmieszna. Prawie cię nie znam. Nie mamy ze sobą nic wspólnego i...

- Będziesz za mną tęsknić?

Zauważył, że rumieniec zabarwił jej jasną cerę, zanim schyliła się po kołdrę, która spadła na podłogę, i otuliła się nią.

- Naprawdę, sama nie wiem, co mówię. To był bardzo emocjonujący dzień.

Po chwili przysiadła skromnie na brzegu, choć ku jego żalowi kołdra pozostała na swoim miejscu.

- Jedź ze mną - usłyszał swój głos.

Wyraz jej twarzy odzwierciedlał niedowierzanie, które sam odczuwał.

- Co?

- Pojedź z nami, kiedy będziemy wracać do Włoch.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale nie mam już urlopu w tym roku.

- Nie jestem wcale miły i nie mówię o wakacjach. Polubiłabyś Włochy.

- Masz na myśli, że... miałabym tam zamieszkać?

- Dlaczego nie?

- Jest setka powodów - wypaliła, próbując zaśmiać się, ale z napięciem w głosie przypomniała mu: - Mam tutaj pracę.

- We Włoszech też są szpitale.

- Nie mówię po włosku, nauka języka wymaga czasu, a ja muszę zarabiać na życie... To zabrzmiało, jakbym naprawdę się nad tym zastanawiała.

- Nie musisz od razu zawracać sobie głowy pracą.... Nie jestem biedakiem.

Zesztywniała.

- Sugerujesz, żebym rzuciła pracę, opuściła przyjaciół i pojechała z tobą do Włoch jako twoja kochanka?

- No, niedokładnie kochanka - przyznał.

- No, a jak nazwałbyś kobietę, której rachunki opłaca mężczyzna w zamian, rzecz jasna, za pewne usługi - spytała z druzgocącą pogardą. - W życiu mnie nikt tak jeszcze nie obraził!

Jej gniew wydał mu się całkowicie niezrozumiały.

- Czujesz się obrażona?

Zastanawiał się, czy ma jej wyjaśnić, że o posadę, do której czuła taką odrazę, przyjmowało się od lat wiele kobiet.

- Tak, do cholery! - warknęła przez zaciśnięte zęby. - Wydaje ci się, że jestem kobietą, która zgodziłaby się uzależnić od mężczyzny? Która wyrzekłaby się wolności? Patrząc wstecz, mogę wydać się głupia, że czekałam z odkryciem seksu do dwudziestego szóstego roku życia, ale nie jestem aż tak głupia.

- Więc o co chodzi? Jak już odkryłaś seks, chcesz dalej z nim eksperymentować?

Przed oczami przemknął mu obraz pozbawionych twarzy mężczyzn, którzy będą kontynuować jej edukację. Pulsowanie w jego skroniach zmieniło się w ogłuszający łomot.

Przez chwilę wpatrywała się w niego ze zdumieniem, potem odrzuciła w tył głowę i parsknęła śmiechem. Oczy rozblęły jej z gniewu, gdy powiedziała cicho i bezbarwnie:

- I tobie powinnam dziękować za swoje wyzwolenie seksualne.

- Nie myl rozwiązłości z wyzwoleniem seksualnym - ostrzegł surowo.

- Ty oskarżasz mnie o rozwiązłość? A to dobre! Naprawdę dobre! Z tego, co słyszałam, zmieniasz kobiety jak normalny mężczyzna zmienia koszule.

- *Dio mio!* - sapnął gniewnie.

Okazało się, że jeszcze z nim nie skończyła.

- Wiesz, należysz do mężczyzn, którzy nie potrafią mówić o swoich uczuciach i sądzą, że to oznaka siły.

- Nagle ogromnie dużo wiesz o mężczyznach... i o mnie - zauważył posepnie. Zielone, przepelnione łzami oczy rzuciły mu wściekłe spojrzenie.

Potrząsnęła pogardliwie głową.

- Wiem o tobie dosyć, żebym nie chciała cię nigdy więcej widzieć. - Złapała rozrzucone ubranie i wybiegła z pokoju.

Wmawiał sobie, że rozwój sytuacji, choć frustrujący, był na dłuższą metę najkorzystniejszy. Diana Smith była zbyt wymagająca. Odrzucił przykrycie i zerwał się, zaczepiając palcem u nogi o koronkowe ramiączko jej biustonosza.

Oddał go jej tydzień później, kiedy się oświadczał.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy limuzyna wjeżdżała do podziemnego garażu pod ich londyńskim domem, niepokój Diany narastał. Samochód zatrzymał się, Eduardo wyłączył silnik, a ona przełknęła ślinę.

Siedzący obok niej Alberto odpiął pas; nic w jego zachowaniu nie zdradzało, że dzieli z nią zdenerwowanie.

Zmarszczyła brwi; takie zachowanie zbijało ją z tropu. Gianfranco mógł być wyrozumiałym ojcem, ale kiedy Alberto przesadził, potrafił go porządnie zbesztać. A nie dało się ukryć, że tym razem syn przeciągnął strunę!

Ojciec wpadnie w furję i Alberto musiał o tym wiedzieć.

Odczekała, aż Eduardo odejdzie na tyle, by nie słyszał pytania, które cały czas zajmowało jej myśli.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu. Nigdy dotąd podobieństwo pomiędzy ojcem i synem nie było tak wyraźne, jak w chwili, gdy nastolatek rzucił jej spojrzenie spod kruczoczarnych brwi.

- Pod wpływem impulsu, jak sędzę.

Wzniosła oczy do nieba i z błagalnym jękiem poprosiła:

- Tylko nie mów tak do ojca.

- Nie martw się tatą, Diano. Poradzę sobie z nim.

Otworzyła usta.

- Poradzisz sobie... - Zaczęła się śmiać. Nie urodził się jeszcze nikt, kto potrafiłby poradzić sobie z Gianfrankiem.

Chłopca nie uraziło jej rozbawienie.

- Naprawdę, wszystko w porządku. Panuję nad tym.

- Uderzyłeś się w głowę? - Wstrząśnienie mózgu wyjaśniałoby jego nieroz-

sądne zadufanie. - Alberto, czasem tylko cienka linia oddziela pewność siebie od głupoty.

Chłopak zaśmiał się.

- Alberto! - zaprotestowała. - To nie żart. Nie możesz tak po prostu uciekać.

- Dlaczego nie? Ty tak zrobiłaś.

Jego łagodne upomnienie sprawiło, że zaczerwieniła się.

- To - odpaliła, odwracając wzrok - wcale nie to samo. Jestem dorosła i...

- I jesteś zamężna, a ja nie.

Zaczynała się zastanawiać, kto z nich dwojga miał usprawiedliwiać swój lekomyślny postępek.

- Twój ojciec musiał nie posiadać się ze złości.

- Kiedy odeszłaś, chodził przez całą noc po pokoju.

- Naprawdę? - Urwała i przygryzła wargi. - To sprawa pomiędzy mną i twoim ojcem - powiedziała surowo.

- Oczywiście. Sprawy dorosłych.

Zerknęła na niego podejrzliwie, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że chciał ją udobruchać. Odpowiedział jej niewinnym spojrzeniem, a jego oczy tak przypominały ojcowskie, że odczuła ból, jakby przebiło ją tępe ostrze.

- Masz trzynaście lat. Zrobiłeś coś wyjątkowo niebezpiecznego - powiedziała, próbując uzmysłwić mu powagę sytuacji, nie wpadając w rolę paskudnej macochy.

- Nic się nie stało - podkreślił z trudną do zaprzeczenia logiką. - Więc nie ma sensu martwić się, prawda?

- Wiem, że twój ojciec wydaje się czasem trochę nieprzystępny, ale jeśli masz jakiś problem, powinienes mu o tym powiedzieć. Myślę, że byłbyś zaskoczony, jaki potrafi być wyrozumiały.

- Och, nie martw się. Wiem, że mogę powiedzieć tacie wszystko i - bądźmy szczerzy! - jest taką osobą, którą pragnie się mieć przy sobie w razie kłopotów.

- Tak, to prawda - przyznała w końcu.

- Wyglądasz dziwnie. Dobrze się czujesz? - spytał, przyglądając się, jak usuwała delikatnie chusteczką ślady łez pod oczami.

- Dobrze, to tylko katar sienny. - Złapała go za ramię. - Ale kiedy ojciec do-  
trze tutaj, nie zachowuj się, jakby to był żart.

- Nie będę.

Musiała się tym zadowolić, gdyż nastolatek przyspieszył kroku i wyprzedził ją. Dotarł do ukrytego pod kolumnadą wejścia, zanim do niego dołączyła.

Zatrzymała się u podnóża schodów i patrzyła, jak wymienił kilka słów ze sto-  
jącym w otwartych drzwiach mężczyzną, zanim wszedł do środka.

- Cześć, Gianfranco. - Nie odrywał ciemnych i poważnych oczu od jej twarzy.

- Albertowi jest bardzo przykro.

Zauważyła w jego oczach błysk, jakby rozbawienia.

- Powiedział ci to?

- Nie tymi słowami, ale...

Przerwał jej ruchem ręki.

- Nie mam ochoty rozmawiać teraz o moim synu.

- Chcesz powiedzieć - nie ze mną.

Zacisnął wargi z frustracją.

- To naprawdę niemądre - stwierdziła wysokim i drżącym głosem. - Ale kiedy się pobraliśmy, obawiałam się bycia macochą. - Zobaczyła w jego oczach błysk zdziwienia i zaśmiała się. - Nie przyszło ci to do głowy? Nie pomyślałeś, że mogę się denerwować, czy nie popsuję wszystkiego i nie zawiodę cię?

- No cóż, tak się nie stało.

- Oczywiście. Ty przejąłeś całkowicie jego wychowanie. Dołożyłam starań, by dopasować się do twojego świata, naprawdę, ale wydaje mi się, że choćbym najsilniej się starała, to nigdy nie będzie dosyć.

Odpowiedzią na jej emocjonalny wybuch było pełne zdumienia milczenie.



- Dlaczego nigdy nie powiedziałaś mi, co czujesz? Myślałem, że chcesz być częścią naszej rodziny.

- Nie usłyszałeś ani słowa z tego, co mówiłam? Chciałam, chcę być częścią rodziny, ale pozostaję na uboczu - tam, gdzie mnie ustawiliś.

Sprawa miała wrażenie naprawdę zaszokowanego jej słowami.

- Jeśli to prawda, nie miałem takiego zamiaru.

- Ty nigdy nie robisz nic przypadkiem. Manipulujesz ludźmi.

- Zachowujesz się, jakbym zaplanował wszystko... Od chwili, gdy cię ujrzałem, usiłuję nieustannie nadażyć za tobą. Moje życie poddaje się planowaniu w takim samym stopniu jak pożar lasu!

Wrogość odpłynęła z serca Diany, jak gdyby ktoś otworzył zawór bezpieczeństwa.

- Dobrze, dobrze, to już nie ma znaczenia - odpowiedziała apatycznie. - Zatrzymałam się u Sue, masz jej numer telefonu.

Zdziwienie odmalowało się na smagłej twarzy Gianfranca.

- Oczekujesz, że będę stał bezczynnie i pozwolę ci odejść...?

Wzruszyła ramionami, udając obojętność, której nie czuła.

- Dlaczego nie?

Jego kruczoczarne brwi zbiegły się w groźną linię.

- O czym ty mówisz? Jesteś moją żoną, choć zdajesz się o tym zapominać.

Wiedziała, że była jego żoną tylko na papierze. W swoim sercu będzie nosił tylko jedną żonę.

- Byłam twoją żoną dwa dni temu - wytknęła. - Nie zauważyłam, żebyś stawał na głowie, by dowiedzieć się, czy u mnie wszystko w porządku.

- Więc miałem biec za tobą? - Zmarszczka pogłębiła się, gdy przesunął wzrokiem po jej twarzy. - Nie wyglądasz dobrze - rzucił oskarżycielsko.

- Nie miałam czasu, aby zadbać o prezencję. Powiedziałeś, że to pilne, więc uznałam, że nie ma mowy o wyprawie do fryzjera.

Ta cierpka uwaga wywołała przelotny błysk uśmiechu w jego oczach.

- Twoje włosy zawsze wyglądają pięknie.

Pragnęła przytulić się do niego i poczuć, jak otaczają ją jego ramiona.

- Chciałem powiedzieć, że wyglądasz, jakbyś była... - przechylił głowę i przymrużył oczy - ...zmęczona.

Nie miała dość energii na wykręty, bo musiała poradzić sobie z bolesnym požądaniem.

- Nie mogłam spać.

Sen kojarzył się w jej myślach z ciepłem jego ciała, zapachem jego jedwabistej skóry. Kanapa i śpiwór po prostu nie mogły tego zastąpić.

- Ja też nie.

Więc Alberto nie mylił się...

- Naprawdę? Dlaczego?

- Byłem zły na ciebie.

- Zły? Myślałam, że może tęskniłeś za mną...? - Usłyszała błagalną nutę w swoim głosie i ogarnęła ją niechęć do siebie. - O Boże, to moja wina! Gdybym zgodziła się zostać twoją kochanką, nie byłoby tych komplikacji! Mam na myśli, że w gruncie rzeczy zależało ci tylko na seksie, a to nie jest takie skomplikowane.

- Nie było, dopóki nie spotkałem ciebie - powiedział ponuro.

Od tamtej chwili nic w jego życiu nie układało się prosto.

- Może wolałbyś, żebyśmy w ogóle nie brali ślubu?

Po tych słowach zapadło milczenie.

- Kiedy odeszłaś w ten sposób, byłem zły, zaniepokojony, byłem... - Urwał i utkwiał płonące spojrzenie w nieufnych oczach Diany.

Wyrzucił z siebie przekleństwo w ojczystym języku.

- Tęskniłem za tobą.

- Naprawdę? - Uniosła powieki, ich oczy spotkały się. - Tak bardzo mi ciebie brakowało, Gianfranco.

Oczy mu zapłonęły.

Potem, gdy jego ramiona otoczyły ją mocnym uściskiem, nie dbała już zupełnie o ambicję. Była tam, gdzie chciała być, tam, gdzie jej miejsce.

- Możesz mnie puścić. Nie zamierzam zniknąć. - Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, Gianfranco sprawiał wrażenie o wiele bardziej zrelaksowanego.

Potrząsnęła głową i nadal zaciskała w dłoniach przód jego koszuli.

- Zniszczyłam ci koszulę.

- Zdejmę ją.

Nie miała nic przeciwko temu.

- Choć może lepsze byłoby mniej publiczne miejsce.

Zarumieniła się, gdy po raz pierwszy dotarło do niej, że przez dłuższy czas pozostawali w namiętym, gorącym uścisku, wystawieni na spojrzenia przechodniów.

Zaśmiał się na widok jej zakłopotania i ujął ją pod ramię, by poprowadzić po schodach, ale ociągała się, potrząsając głową.

- Muszę najpierw powiedzieć ci o dziecku.

Podjęła decyzję, była spokojna.

Wyczuła, że zeszywniał i zamknął się w sobie, gdy padło to słowo.

- Miałam czas wszystko przemyśleć. I... masz rację.

Spojrzał na nią czujnie.

- Nie chcesz mieć dziecka?

Odwróciła wzrok.

- Mam ciebie i Alberta. Nawet jeśli on nie potrzebuje matki, może przyda mu się przyjaciółka...?

- Próbujesz mnie zawstydzić?

- Nie wiem, co masz na myśli.

Zamknęła oczy, gdy zaczął powoli zakreślać kciukiem kółka na jej policzku.

Dotknął palcem łzy, która spłynęła z kącika jej oka.

- Jesteś tego pewna?

Pociągnęła nosem i przytaknęła.

- Całkowicie. Uznałam, że nie chcę narażać siebie, nas, na te wszystkie inwazyjne zabiegi, nie mając nawet gwarancji, że będą skuteczne.

Żyła od lat ze świadomością swojej bezpłodności, o wiele mniej była pewna, że przeżyłaby bez Gianfranca.

- I chcę, żeby nasze małżeństwo przetrwało.

- A co będzie za dziesięć czy piętnaście lat? Popatrzysz na mnie i odczujesz pretensję, że powstrzymałem cię przed próbami?

- To moja decyzja, Gianfranco.

- Jesteś tego absolutnie pewna?

Cóż, jedno było pewne - nie będzie się już musiał zastanawiać, czy ją kocha. Kochający mężczyzna nigdy nie prosiłby kobiety, aby dokonała wyboru, do którego ją zmusił.

- Tak.

Czując się jak ostatni drań, skinął głową.

Diana sądziła, że priorytetem Gianfranca będzie rozmowa z marnotrawnym synem. Była więc zaskoczona, gdy mąż oznajmił, że Alberto może poczekać do rana i że noc spędzona na rozmyślaniu może mu dobrze zrobić.

Gianfranco miał zupełnie inne priorytety. Zabrał żonę prosto do zacisza ich sypialni, gdzie zdjął z siebie poplamioną koszulę i resztę ubrania.

Ich miłość miała w sobie coś, czego wcześniej nie było, intensywność i gwałtowną czułość, która przeszła jej duszę niczym sztylet i pozostawiła słone ślady łez na twarzy.

Leżała z głową na jego piersi, czując uderzenia jego serca.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Diana obudziła się. Było ciemno, ale nie była to aksamitna ciemność nocy nad wzgórzami Toskanii.

Ta ciemność, która jej, dziewczynie z miasta, wydała się przerażająca, kiedy sprowadziła się do toskańskiego domu Gianfranca. On, najwyraźniej, czuł głęboką więź z domem i ziemią. Wziąwszy pod uwagę siłę tych uczuć, była zdumiona, że - jak się wydawało - nie żywił urazy do ojca, który je utracił. I to podczas gry w pokera, na litość boską!

Była zaszokowana, gdy Gianfranco opowiedział jej o tym. A jednak, spotkawszy Fabia Bruni, czarującego mężczyznę o cichym głosie, uznała, że wygląda zupełnie normalnie, nie tak, jak wyobrażała sobie kogoś, kto stracił majątek przy karcianym stoliku.

Kiedy powiedziała o tym Gianfrancowi, zwrócił jej uwagę, że uzależnienie od hazardu nie odbija się na wyglądzie danego człowieka, ale na jego koncie bankowym i zniszczonym życiu rodziny.

- Gianfranco...

Wyciągnęła rękę i poklepała łóżko obok siebie. Natknęła się tylko na ciepłe zagłębienie, więc usiadła i znowu zawołała męża po imieniu, tylko głośniej.

Tym razem doczekała się odpowiedzi. Otworzyły się drzwi łazienki i ukazał się w nich Gianfranco.

- Witaj, śpiąca królewno - powiedział.

Ruszył ku niej w ręczniku zawiązanym wokół bioder.

Rzuciła mu na powitanie senny uśmiech; przysiadł na brzegu łóżka i wycisnął na jej wargach gorący pocałunek.

- Która godzina?

- Wpół do drugiej.

Otworzyła z zaskoczeniem oczy.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś? Co z Albertem?

- A co ma być? Raczej nie potrzebuje, żebym utulał go do snu.

- Nie bądź dla niego zbyt surowy. Nie sądzisz - zastanowiła się, mrużąc oczy - że mogło chodzić o zbliżające się egzaminy? Wiele osób bardzo denerwuje się przed egzaminami. Ja się denerwowałam.

Zerknęła na niego, przekonana, że w całym swoim życiu nie odczuł ukłucia niepokoju w sali egzaminacyjnej.

- Naprawdę, dla każdego chłopca byłbyś trudnym przykładem do naśladowania. Może czuje się zagrożony...? - zasugerowała niepewnie.

- Jakoś w to wątpię - odpowiedział z ironią. - Jeśli chodzi o dorównanie moim naukowym osiągnięciom, to nie byłoby trudne. Bo ich nie mam.

- Co to znaczy?

- Prawdę mówiąc, nie zdawałem żadnych egzaminów.

- Żadnych?

Pochylił głowę; sprawiał wrażenie, jakby bawiło go jej zdumienie.

- Na kilka miesięcy przed przystąpieniem do egzaminów poproszono mnie, bym opuścił szkołę.

- Zostałeś wyrzucony?

- Nic tak podniecającego. - Przesunął palcem po jej policzku i zaśmiał się.

- Więc czemu odszedłeś? - Nigdy nie mówił o przeszłości, nie mogła więc przepuścić takiej okazji.

Wzruszył ramionami.

- Wyobrażasz sobie jakąś tajemnicę. A nie ma żadnej. - Wziął poduszkę i podłożył sobie pod głowę.

Z trudem oderwała oczy od gry mięśni na jego płaskim, złotawym brzuchu.

- Więc czemu rzuciłeś szkołę?

- Z powodu niezapłaconego chesnego.

Otworzyła szeroko oczy.

- Więc poproszono cię, żebyś odszedł? Och, to okropne. - Była oburzona. - I bezduszne!

- Prawdę mówiąc, całe lata byli bardzo cierpliwi. Kwestor taktownie dawał mi do zrozumienia, że wpłata trochę się opóźnia. Zwykle znajdował się jakiś obraz lub klejnot do sprzedania, a nagle - wzruszył beztrąsko ramionami - już ich nie było. Nie rób takiej miny. Tradycyjna edukacja nie odpowiadała mi. Była zbyt... - szerokie ramiona poruszyły się wymownie - ograniczająca. Właściwie wyświadczyli mi przysługę. W miesiąc po wyrzuceniu założyłem spółkę internetową, którą sprzedałem, zanim nastąpiło załamanie rynku, a reszta, jak to się mówi, to już historia.

- Nie przeszkadza ci, że twój ojciec zachowuje się, jakby nadal był właścicielem *palazzo*, ilekroć tam przyjeżdża?

W rzeczywistości Gianfranco zapłacił kolosalną sumę, by ocalić *palazzo* i posiadłość przed inwestorem budowlanym, kiedy odbudował rodzinną fortunę.

- To kwestia dumy. Po co rozdrapywać rany? Poza tym, jest dziś człowiekiem nawróconym, o ile nałogowy hazardzista może być nawrócony.

- No cóż, uważam, że jesteś nieprawdopodobnie wielkoduszny - stwierdziła porywczo. - Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, co przez niego przeszliście, twoja matka i ty.

- Wszyscy mamy swoje słabostki, Diano.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nawet ty?

- Nawet ja - potwierdził.

- Nie wierzę ci.

- A powinnaś. Moją słabostką jest rudowłosa czarownica, która ledwo sięga mi do ramienia.

- Przypuszczam, że to ma być komplement...?

Wzruszył ramionami i zdjął ręcznik z szyi.

- Nie wiem, ale taka jest prawda. Masz ochotę podzielić się swoim ciepłem ze



mną?

- Z przyjemnością.

Kiedy znowu się obudziła, było jasno, a miejsce obok niej było puste i zimne. Senny, pełen zadowolenia uśmiech zastąpiło zmarszczenie brwi.

Uniosła się na łokciu, zauważyła położenie wskazówek zegara na nocnym stoliku. Otworzyła szeroko oczy: była już pora lunchu.

Pobiegła pod prysznic.

Gianfranco powinien był ją obudzić.

Powiedziała mu to, kiedy zeszła na dół i znalazła go w kuchni.

- Próbowałem obudzić cię pocałunkiem, ale tylko odwróciłaś się i skuliłaś w kłębek jak śpiący kociak.

- To chyba nie był porządny pocałunek - zażartowała.

- Zostałbym i dotrzymałbym ci towarzystwa, ale miałem kilka telefonów do załatwienia.

Prychnęła z powątpiewaniem.

- Nigdy nie zostajesz dłużej w łóżku.

To fakt, Gianfranco nie tylko budził się każdego ranka wcześnie, dosłownie z ptakami, ale należał do tych niewielu ludzi, którzy potrzebują kilku godzin snu. Wyjątek zrobił tylko podczas ich miesiąca miodowego, spędzonego w samotnej korsykańskiej willi na klifie, w wielkim łóżu w bajkowej sypialni w wieżycze.

- O czym myślisz? - spytał. - Masz takie nieobecne spojrzenie.

- Bo byłam myślami daleko stąd. Na Korsyce.

Oczy mu pociemniały.

- Więc wiesz, że przy odpowiedniej zachęcie zostałbym w łóżku. Masz ochotę - spytał, odgarniając lok z jej policzka - zachęcić mnie odpowiednio?

Myśląc o zamówionej w ostatniej chwili wizycie w klinice leczenia bezpłodności, odwróciła wzrok.

- Chciałabym, ale jestem umówiona...

- Dokąd idziesz?

Pochyliła się, by nalać sobie trochę kawy z dzbanka stojącego na stole, i postarała się, by włosy ukryły choć w części jej twarz przed jego wzrokiem.

- Mam wizytę u dentysty. Wypadła mi plomba.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym? Boli cię?

- Nie, to nic takiego, po prostu ząb reaguje trochę na zimno i ciepło - skłamała, czując się jeszcze bardziej winna.

- Poczekaj, pójde z tobą.

- Nie... nie! - Uśmiechnęła się, zmieniła ton i dodała: - To znaczy, uważam, że powinieneś skorzystać z okazji i porozmawiać z Albertem.

Zniżyła głos, a jej spojrzenie skierowało się na siedzącego przy śniadaniu chłopca. Poruszał głową do taktu muzyki dźwięczącej w słuchawkach.

- Mam na myśli, że nadal nie wiemy, dlaczego uciekł. - Nie musiała udawać zatroskania tą sprawą. - A może łatwiej mu przyjdzie o tym mówić, kiedy mnie tu nie będzie. - Spuściła oczy. - Miałaś rację, Alberto mógłby poczuć się urażony, że się wtrącam.

- Nie mogłabyś urazić Alberta, choćbyś się starała. Myliłem się. - Rzucił jej spojrzenie, którego nie potrafiła odczytać. - Nie jesteś intruzem w tej rodzinie, tylko jej pełnoprawnym członkiem. Nie musisz szukać wymówek, żeby dać nam czas na rozmowę w cztery oczy.

Z wrażenia poczuła ucisk w gardle. Więc nie składał wczoraj gołosłownych deklaracji; naprawdę mówił, co myślał. Boże, jeśli wcześniej miała wyrzuty sumienia, że go okłamywała, teraz czuła się po prostu okropnie.

Obiecała sobie w duchu, że po dzisiejszym dniu nie będzie już między nimi tajemnic.

Lekarz słuchał uprzejmie, gdy wyjaśniała mu, że po przedyskutowaniu sprawy z mężem, zdecydowali się nie brać udziału w badaniach.

- Prawdę mówiąc, pani Bruni, muszę powiedzieć, że nie jest pani odpowiednią kandydatką.

Wysłuchiwała tej szokującej wieści w milczeniu.

- Więc nigdy nie miałam szansy zajść w ciążę? - Ramiona jej opadły.

Nie była pewna, czy odczuła ulgę czy rozczarowanie. A może jedno i drugie?

- Jestem niemal pewien, że już jest pani w ciąży, pani Bruni.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Diana ledwo zdawała sobie sprawę, że ktoś sadza ją w krzesło. Gapiła się w szklankę z wodą, którą trzymała w ręce, i nie pamiętała, skąd tam się wzięła.

Szum w uszach zelżał trochę, gdy podniosła wzrok na pochylonego nad nią lekarza.

- Przepraszam - powiedziała z wymuszonym śmiechem. - Ale przez chwilę wydawało mi się, że powiedział pan, że jestem w ciąży.

- Niczego pani nie podejrzewała?

- Podejrzewała? - powtórzyła, wspominając gwałtowne zmiany nastroju, nagłą niechęć do kawy, wrażliwe piersi. - Jak mogłam coś podejrzewać? - spytała ostro.

Wskazówki były wyraźne, ale ich nie szukała. Dlaczego miałyby to robić?

- Sam pan powiedział, że tylko cudem mogłabym zajść w ciążę w naturalny sposób. No i wiedziałabym... Kobiety to wiedzą, prawda? - Przynajmniej te, z którymi rozmawiała.

- To dość częsty przypadek, że kobieta nic nie wie, dopóki ciąża nie jest zaawansowana. A cuda, nawet w tym cynicznym świecie, nie są bynajmniej tak rzadkie, jak mogłaby pani myśleć. W mojej pracy widuję cuda codziennie, same narodziny są cudem.

Zaszokowana, instynktownie osłoniła brzuch rękami. Potrząsnęła głową, nadal nie mogąc w pełni uwierzyć, że to nie jest sen.

- Na pewno nie pomylił pan moich wyników z innymi?

- Na pewno. - Lekarz wydawał się bardziej rozbawiony niż urażony jej pytaniem. - Jest pani w ciąży.

O mój Boże! Co na to powie Gianfranco? Odepchnęła tę myśl. Wystarczająco trudno było jej oswoić się z faktami, bez zaprzątania sobie głowy tą sprawą.

- Jak długo?

- Na podstawie badania powiedziałbym, że od kilkunastu tygodni, ale dokładniej będę mógł określić po USG.

Moje dziecko... Po raz pierwszy pozwoliła sobie uwierzyć i ogarnęła ją radość.

- Mam mieć zrobione USG? Kiedy?

- Od razu, jeśli pani zechce.

- Chcę.

Lekarz zaśmiał się na to żarliwe stwierdzenie i wyszedł, aby poczynić niezbędne przygotowania.

Diana nie mogła oderwać zafascynowanych oczu od ekranu.

- To naprawdę dziecko - wyszeptała, ocierając grzbietem dłoni łzy z twarzy. - Cud - dodała. - Jest zdrowe? Czy nic...?

- Pani dziecko jest idealne i sądząc z wymiarów... tak, jest pani w czternastym tygodniu ciąży.

- Nie mogę wciąż tego pojąć. - Potrząsnęła głową, pociągnęła nosem i wyznała: - Po prostu nie wiem... Nigdy nie sądziłam, że będę w tej sytuacji... - Głos jej się załamał, gdy usiłowała powstrzymać szloch.

Lekarz uśmiechnął się i podał jej chusteczkę higieniczną.

- Z przyjemnością odpowiem na każde pytanie. Może umówi się pani na kolejną wizytę i przyjdzie z mężem, kiedy już oswoicie się z sytuacją. Jestem pewien,

że chciałby w tym uczestniczyć.

Dianę, która była równie pewna, że wcale by tego nie chciał, przeszył tak ostry ból, że aż stęknęła.

- Jest pan bardzo miły. Bardzo dziękuję.

Wyszła z kliniki nadal oszołomiona i postanowiła pójść okreśną drogą przez park. Spacerowała bez celu, w głowie miała gonitwę myśli, rozdarta pomiędzy euforią a strachem. Pragnęła mieć dziecko Gianfranca i pragnęła Gianfranca. Nie mogła mieć tego i tego.

Usiadła ciężko na ławce i ukryła twarz w dłoniach.

Kiedy podniosła głowę, twarz miała bladą, lecz stanowczą. Dlaczego nie mogła mieć ich obu? Gianfranco wydawał się zdecydowany, że nie chce dziecka, ale w części jego niechęć (i jak była przekonana - wielu mężczyzn) była spowodowana oporem przed inwazyjną metodą leczenia.

Będzie wspaniałym ojcem dla ich dziecka, jak już oswoi się z faktami. Mignęła jej przed oczami twarz Gianfranca, jej wyraz, kiedy stwierdził, że nie chce mieć więcej dzieci.

Zacisnęła zęby i odsunęła od siebie ten obraz. To było wtedy, a teraz jest teraz. Sytuacja się zmieniła.

Myśl logicznie, przykazała sobie. Nie możesz wieczorem mówić facetowi, że wyrzekłaś się myśli o dzieciach, a potem zjawić się następnego ranka i niedbale rzucić w rozmowie: „Jestem w ciąży”.

Rozsądniej by było wtrącić kilka aluzji, choć nie bardzo sobie wyobrażała, jaką formę miałyby przybrać.

Potrzebował po prostu czasu, by zmienić zdanie.

Upłynął tydzień od ich pogodzenia się i życie było niemal tak wspaniałe, jak mogła sobie wyobrazić.

Byłoby doskonałe, gdyby nie jej tajemnica. Wisiała nad jej głową jak miecz Damoklesa. Musiała powiedzieć Gianfrancowi, że jest w ciąży. Czas płynął: nie-

długo jej stan będzie zauważalny.

W jej ciele zachodziły już pewne zmiany pod wpływem życia, które w niej kiełkowało. Fascynujące zmiany. Zmiany, które Dianie wydawały się tak radykalne, że nie potrafiła zrozumieć, jakim cudem Gianfranco ich nie zauważył.

Musiała mu powiedzieć.

Powiadomienie ukochanego mężczyzny, że spodziewasz się jego dziecka, powinno być jedną z najwspanialszych chwil w życiu.

Ale spędziwszy poranek w dziecięcym hospicjum, wiedziała aż za dobrze, że życie po prostu nie jest sprawiedliwe.

Poinformuję Gianfranca dziś wieczorem, postanowiła, otwierając drzwi samochodu.

Nie czekałaby do wieczora, gdyby nie była umówiona na lunch z Carłą.

Kiedy dotarła do restauracji, Carla siedziała w środku i popijała wodę mineralną.

- Przepraszam, że się spóźniłam - powiedziała Diana, gdy Włoszka podniosła się i ucałowała ją w oba policzki.

W ostatnim okresie była bardzo wrażliwa na zapachy i zebrało się jej na mdłości, kiedy otoczył ją obłok ciężkich perfum tej kobiety.

- Na początek powiem ci, że zapewniłam wszystkich, że to były tylko głupie pogłoski.

Diana odłożyła menu.

- Jakie głupie pogłoski?

- Po twoim odejściu było trochę plotek, ale powiedziałam...

- Były jakieś plotki?

- Mówiono o rozwodzie, ale nie denerwuj się, powiedziałam, że wszystkie małżeństwa czasem się kłócą, a Gianfranco nigdy by cię nie zdradził.

- Oczywiście, że nie!

- To samo im mówiłam. - Carla rzuciła jej radosny uśmiech i zajęła się stu-

diowaniem menu. - Przekonywałam: spójrzcie tylko, jacy są szczęśliwi, a pamiętacie, jak martwiliśmy się o Gianfranca, kiedy umarła Sara. To był taki okropny okres. Niektórzy sugerowali, że gdyby syn tak go nie potrzebował, mógłby zrobić coś głupiego...

- Nigdy! - Gianfranco nie należał do osób dających łatwo za wygraną.

Włoszka, wyraźnie speszona gwałtowną reakcją Diany, przytaknęła szybko:

- Z pewnością masz rację. Wiesz, mam wrażenie, że tutejszy homar jest bardzo dobry.

Diana zrezygnowała z homara w ciężkim sosie i wybrała najbardziej lekkostrawną potrawę, którą znalazła w jadłospisie. Mimo tego musiała pobiec szybko do toalety.

W towarzystwie tej wymuskaney kobiety zawsze czuła się zaniedbana i źle ubrana, ale kiedy wróciła po krótkiej chwili do stołu, jeszcze ostrzej odczuła ten kontrast.

Carla gapiła się na nią, kiedy zajmowała swoje miejsce.

- Jesteś w ciąży, prawda?

Była zbyt zaskoczona i zbita z tropu, że odkryto jej sekret, by zastanowił ją ostry ton głosu Włoszki.

- Tak.

Wargi starszej kobiety wygięły się w sztucznym uśmiechu.

- Gratuluję.

- Dziękuję. Byłabym wdzięczna, gdybyś na razie nikomu o tym nie mówiła.

- Bardzo mądrze, tyle może się zdarzyć w tak wczesnym okresie. Rozumiem, że stosunkowo wiele ciąży kończy się...

Wysoki i ostry głos Diany przeciął te dywagacje.

- Nie! Mojemu dziecku nic nie jest - wybuchnęła, a jej bladą twarz pokrył rumieniec.

Carla uniosła cienkie brwi.



- Oczywiście. Nie zamierzałam sugerować, że coś może się stać. Po prostu zgadzam się z twoją decyzją, żeby na tak wczesnym etapie tego nie rozgłaszać.
- Właściwie to nie jest tak wczesny etap.
- Nie pisnę ani słowa. Gianfranco musi być zachwycony.
- Prawdę mówiąc, jeszcze mu nie powiedziałam.
- Tak? Jestem pewna, że masz swoje powody. - Odchyliła głowę i uśmiechnęła się. - Nie martw się. Nic nie powiem.

Dwie godziny później Carla siedziała w ulicznej kawiarni naprzeciwko tylnego wyjścia Bruni Building - wyjścia, z którego korzystał Gianfranco.

Gdy zobaczyła w drzwiach jego wysoką postać, zerknęła szybko na swoje odbicie w lusterku puderniczki, z uśmiechem, gdyż spodobało się jej to, co zobaczyła, i wsunęła puderniczkę do torebki.

Przebiegła ulicę i zdołała zderzyć się z Gianfrankiem, zanim dotarł do zaparkowanego samochodu.

- Przepraszam. Nic się pani nie stało? - Gianfranco odruchowo wyciągnął rękę, żeby podtrzymać osobę, która wpadła na niego. Uniósł brew, kiedy poznał ciemnowłosą kobietę. - Carlo, bardzo się śpieszysz.

- Jestem trochę spóźniona - przyznała, patrząc na zawartość swej markowej torby, rozsypaną na chodniku.

- Wybrałaś się na zakupy?

Przyszło mu do głowy, że w życiu kuzynki niewiele działo się poza zakupami. Uświadomił sobie, że Diana byłaby tym śmiertelnie znudzona. Nie mógł sobie wyobrazić, by żona zadowoliliła się taką hedonistyczną, płytką egzystencją, choć - pomyślał, marszcząc z troską czoło - czasem brała na siebie za dużo.

Linia pomiędzy jego brwiami pogłębiła się, gdy przypomniał sobie, jaka była blada i wymizerowana, gdy wychodził dziś rano z domu.

Nie zamierzał pozwolić jej zaharowywać się na śmierć, ale wiedział, że jak tylko spuści ją z oczu, ona znowu zrobi coś niemądrego.

Natychmiast nasunęło mu się jedyne rozwiązanie: że nie powinien spuszczać jej z oczu tak często.

- Ojej!

Wysoki pisk przywołał go do rzeczywistości. Carla próbowała pozbierać pakunki z chodnika. Jej wysiłki skutecznie utrudniała wąska, obcisła spódnica i czterocalowe obcasy.

Przykucnął.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Pierwszą rzeczą, którą podniósł, był malutki niemowlęcy pajacyk. Carla wyrwała mu go z ręki ze śmiechem.

- Będziesz musiał udawać, że go nie widziałeś, kiedy Diana go odpakuje. - Otrzepując spódnice, podniosła się i wyciągnęła rękę z malutkim ubrankiem. - Myślisz, że spodoba się Dianie? - Urwała, jakby nagle przyszło jej coś do głowy. - Och, powiedz mi, chyba nie kupiła już takiego samego?

Spojrzał na pajacyk i odpowiedział z przekonaniem:

- Jestem niemal na sto procent pewny, że nie kupiła.

To była jedyna rzecz, której mógł w tej chwili być pewny.

Odetchnęła z przesadną ulgą.

- Po prostu nie mogłam się oprzeć, gdy go zobaczyłam - paplała. Przechwyciła jego lodowate spojrzenie i roześmiała się znowu. Ten sztuczny, perlisty śmiech zaczynał działać mu na nerwy. - Przepraszam, że tak się rozpliwam, ale musisz do tego przywyknąć - zażartowała.

Podniósł się powoli.

- Dziękuję. - Carla ucałowała go w policzek, odbierając od niego zakupy. - Musisz być bardzo podniecony. - Zdawała się nie zauważać, że stał, jakby go zamurowało; pocałowała go znowu i poszła w kierunku kawiarni naprzeciwko.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

To musi być pomyłka.

Diana nie może spodziewać się dziecka. Dlaczego Carla przypuszcza, że jego żona może być w ciąży?

Przypomniawszy sobie jej bladą twarz, niepokojące zmęczenie, poranne wizyty w łazience.

Wciągnął powietrze i ze znieruchomiałą twarzą otworzył szarpnięciem drzwi samochodu.

Diana, ubrana w różowy koronkowy biustonosz bez ramiączek i dobrane do niego figi, położyła na łóżku kreację z bladzielonego atłasu z obcisłym - już zbyt obcisłym - stanikiem, i usiadła przed lustrem.

Brylantowy naszyjnik, który miała na szyi, migotał na tle jej gładkiej skóry, gdy sięgała po pasujące do niego kolczyki. Te klejnoty ofiarował jej Gianfranco zaraz potem, jak wrócili do domu. I specjalnie prosił, by założyła je dziś wieczorem.

Rozmarzony uśmiech pojawił się na jej ustach, kiedy przytrzymując kolczyki przy uszach, obróciła głowę, by podziwiać efekt. Uśmiech ten zbladł, gdy przyszło jej na myśl, że po dzisiejszym wieczorze jedyne, czego być może chciałaby od niej mąż, to aby spakowała walizkę i odeszła.

Jedyną jej nadzieją było, że Gianfranco w końcu zacznie myśleć cieplej o kolejnym dziecku.

Wmawiała sobie, że to może się zdarzyć, kiedy jakieś poruszenie cienia w lustrze skłoniło ją do odwrócenia głowy.

Gianfranco stał oparty o framugę drzwi, a wyraz jego twarzy raczej nie zachęcał do przypuszczenia, że mógłby kiedykolwiek pomyśleć o czymś cieplej.

Ścisnęło ją w żołądku.

- Już wiesz.

Zaczerpnął tchu i oderwał się od drzwi.

- Więc to prawda? - spytał ostro.

- Wiem, że powinnam ci była powiedzieć - przyznała z zawstydzieniem.

- Co powiedzieć... kolejny stek kłamstw?

Wzdrygnęła się, słysząc wrogość w jego głosie.

- Nigdy cię nie okłamywałam. Z wyjątkiem tamtej wizyty u dentysty.

- Wiedziałaś już wtedy?

- To był dla mnie ogromny szok. Niczego nie podejrzewałam i...

- A jak myślisz, czym to jest dla mnie? Powiedziałaś, że nie możesz mieć dzieci. Ile jeszcze kłamstw mi wcisnęłaś? - zastanowił się z goryczą.

Poczuła przypływ gniewu.

- Powiedziano mi, że zajście w ciążę jest u mnie praktycznie niemożliwe.

Uwierzyłam w to.

- Więc to cudowne poczęcie?

- W moim odczuciu, tak.

Spokojna powaga jej odpowiedzi zbiła go na chwilę z tropu.

- Chcesz tego dziecka?

- Naszego dziecka - poprawiła cicho.

- Więc ja nie mam nic do powiedzenia?

- Sugerujesz, żebym usunęła ciążę?

Sprawił wrażenie zaszokowanego, ale była zbyt rozgniewana, by to zauważyć.

- Co? Nie! Oczywiście, że nie!

- Zaszłam w ciążę przypadkowo i, pozwól, że ci przypomnę, nie bez twojej pomocy.

- Powiedziałaś, że nie możesz mieć dzieci. Gdyby wiedział, że jest inaczej, zadbałby o antykoncepcję.

- Tak mi powiedziano. - Wyrzuciła w górę ręce. - Nie planowałam tego, ale

cholernie się cieszę. Możesz sobie szydzić, ale to cud. I nie obchodzi mnie, co powiesz lub pomyślisz. Ja zamierzam być z tego powodu szczęśliwa - oznajmiła, zanim wybuchnęła płaczem.

Patrzył bezradnie. Jej oskarżenia odbijały się echem w jego głowie. Chciał powiedzieć, że bardzo się myliła, ale nie mógł tego zrobić, nie wyjawiając swojej winy i lęku.

Jak mógł wyjaśnić, że dla niego ciąża nie była równoznaczna ze szczęściem? W jego umyśle wiązała się z chorobą i zagrożeniem. Nie miał prawa zarażać jej strachem, strachem, który prześladowałby ją w każdym dniu ciąży.

- Przykro mi, Diano, przykro mi, że nie mogę czuć tak, jak byś chciała.

Skierowała pełne łez oczy na jego twarz. Była wyczerpana emocjonalnie i słaba; nawet mówienie było wysiłkiem.

- To nasze dziecko - powiedziała, przyciskając dłoń do brzucha.

Skinał głową.

- Wiem. Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Gdyby coś przydarzyło się jej z tego powodu, nigdy nie mógłby żyć z samym sobą. Nie mógłby żyć bez niej, ponieważ po prostu ją kochał.

- Nie ma co szukać rozwiązania. Spodziewam się dziecka, i jeśli nawet spojrzeniem sprawisz, że poczuje się niechciane, nigdy, przenigdy ci nie wybaczę.

Przeszedł do gabinetu, nalał sobie brandy, a potem, spojrzawszy na kieliszek, wylał jego zawartość do doniczki.

Jego ojciec nie tylko był hazardzistą, ale pił za dużo, ilekroć miał kłopoty - zwykle związane z ostatnim długiem karcianym.

Gianfranco nigdy nie miał ochoty go naśladować, po co więc zaczynać teraz? Nie musiał szukać znieczulenia w butelce.

No więc raz przegrał w loterii zwanej „małżeństwo z miłości”; to nie znaczyło, że musi pozwolić, by historia się powtórzyła.

Powinien chyba cieszyć się, że ma tak wspaniałą żonę - taką, którą może ko-

chać?

Mógłby siedzieć i zastępować Dianę w wyobrażaniu sobie najokropniejszych scenariuszy albo zadbać, aby ona i ich dziecko byli bezpieczni.

Nadal zastanawiał się nad strategią, kiedy Diana weszła bez pukania do gabinetu. Miała na sobie długą nocną koszulę, która w świetle lampy była przezroczysta. W innej sytuacji mógłby podejrzewać, że wybrała ją specjalnie, aby go uwieść, ale najwyraźniej nie o to teraz chodziło.

Przesunęła spojrzenie na otwartą butelkę na stole.

- Piłeś?

- Nie, rozmyśliłem się.

- Idziesz do łóżka?

- A będę mile widziany?

Odwróciła wzrok i wzruszyła ramionami.

- Rano zaangażuję pielęgniarkę, która będzie tu mieszkać, i zajmę się zapewnieniem ci opieki lekarskiej. Angelo będzie wiedział, którzy lekarze są najlepsi.

- To nie jest konieczne.

Ale najwyraźniej dla niego było. Uświadomiła sobie, że zapewniwszy jej fachową opiekę, sam będzie mógł trzymać się na dystans.

Zrozumienie jego motywów napełniło ją głębokim smutkiem. Naprawdę myślała, nawet po wydarzeniach dzisiejszego wieczoru, że mąż może zmienić nastawienie.

- Diano!

W odpowiedzi na swoje wołanie Gianfranco usłyszał stukot obcasów po marmurowej podłodze w holu. Zaskoczyło go to. Diana obecnie rzadko nosiła w domu buty. Był to ostatni miesiąc ciąży i stopy zaczynały jej puchnąć.

Jego zdaniem był to co najmniej niepokojący objaw, ale konsultant - oczywiście profesor - rozproszył jego obawy.

- Gianfranco!

Odwrócił się i zobaczył nie swoją żonę, lecz Carłę. Jego rozczarowanie było zbyt głębokie, by zdołał je ukryć.

- Carla. Gdzie jest Diana?

Brunetka przycisnęła jedną dłoń do piersi, drugą położyła mu na ramieniu.

- Przykro mi, Gianfranco...

Dramatyczne zawieszenie głosu tylko go zirytowało, podobnie jak zapach ciężkich perfum, w których chyba się kąpała.

- Obawiam się, że odeszła... ponownie.

Pokazał zęby w gniewnym uśmiechu.

To Diana będzie miała powód do obawy, kiedy ją dopadnie - tylko że ona nigdy by się nie bała, nieprawdaż? Wysunęłaby tylko podbródek i rzuciła mu wściekłe spojrzenie wspaniałych zielonych oczu, mówiące wyraźnie „idź do diabła”. Albo wyglądałaby na istotkę słabą i bezbronną, i sprawiłaby, że poczułby się jak ostatni drań.

W obu przypadkach doprowadziłaby do tego, że chciałby ją całować. A ponieważ nie mógł tego robić, te ostatnie miesiące wykończyły go, jak gdyby toczyli wojnę na wyczerpanie. Kiedy, zastanowił się ponuro, zamierzała mu wybaczyć? I kiedy przestanie trzymać go na dystans?

I co jej przyszło do głowy, by włóczyć się poza domem w tym stanie i przy nadciągającej burzy?

- Odeszła, dokąd? - Zmarszczył z niechęcią nos, gdy Carla podsunęła się bliżej.

Nie zauważył, że gwałtownie cofnęła rękę spoczywającą na jego rękawie ani że wpatruje się w niego.

Ledwo uświadamiając sobie jej obecność, przesunął smagłą dłonią po czole i podszedł do okna. Drzewa, rosnące wzdłuż długiej drogi dojazdowej, kołysał wiatr, który był łagodną bryzą w porównaniu z tym, który miał zerwać się później.

Tu, pośród wzgórz, letnie burze potrafiły być bardzo gwałtowne, i to myśl o



Dianie, która miała przeżyć burzę w samotności, sprawiła, że odwołał popołudniowe spotkania i przyjechał do domu, kiedy jeszcze mógł to zrobić.

- Czy powiedziała, kiedy wróci? - Odsunął mankiet koszuli i spojrzał na zegarek.

Dawał jej dziesięć minut; jeśli do tego czasu nie wróci, sam po nią pójdzie.

- Pozwól, że naleję ci drinka - zagruchała współczująco Carla.

Odwrócił się i zobaczył, że skierowała się ku barkowi, przesadnie kołysząc biodrami.

- Nie chcę drinka - powiedział ostro, kiedy wyciągnęła dwa kieliszki i butelkę.

- Chcę wiedzieć, o której moja żona zapowiedziała powrót.

- Ona nie wróci, Gianfranco.

Spojrzał na nią przymrużonymi oczami, z nieruchomą twarzą, i warknął tonem, który rozpoznałby każdy z biznesmenów:

- Gdzie, do diabła, jest moja żona?

Niewyraźny uśmiech na twarzy Carli zbladł, cofnęła się odruchowo. Wściekłość w oczach Gianfranca była skierowana przeciwko niej. Nie tak to miało wyglądać.

- Właśnie próbuję ci to wyjaśnić. - Starając się zapanować nad sobą, przesunęła językiem po wyschniętych wargach. - Odeszła. A ja jestem tutaj, by cię pocieszyć.

Popatrzył na nią przez chwilę, potem uśmiechnął się.

Widząc ten uśmiech, Carla po raz pierwszy pomyślała, że mogła się przeliczyć.

- Wiem, że kłamiesz. - Zauważył bladość kuzynki, ale jej nie współczuł.

Jedno wiedział na pewno: że Diana nie odeszłaby od niego bez słowa. Kochał ją. Nie był już właścicielem swego serca. Teraz należało do Diany.

- Nie wiem dlaczego. Ale się dowiem - obiecał spokojnie.

Wpatrywała się w niego, jakby wcześniej go nie widziała.

- Nie kłamie. Kiedyś cię już zostawiła - powiedziała piskliwie. - To było nieuniknione, i prawdopodobnie tak będzie lepiej na dłuższą metę. - Na jej twarzy zastygł brzydki, złośliwy grymas, gdy dorzuciła: - Nigdy nie była jedną z nas. Musisz przyznać, że masz fatalny gust, jeśli chodzi o kobiety. Najpierw barmanka, a teraz ona. Czy zastanawiałeś się kiedyś, jak inne byłoby życie, gdybyś ożenił się ze mną, jak planowaliśmy?

- Planowaliśmy?

- Kiedy miałam dwadzieścia lat, powiedziałeś, że chcesz mnie poślubić.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że miała na myśli jego młodzieńczy żart... Tyle że ona nie żartowała.

- Miałem szesnaście lat. - Ta kobieta najwyraźniej była pijana albo cierpiała na urojenia.

- I byłeś taki przystojny. Nie patrz tak, Gianfranco. Rozumiem, że mężczyzna taki jak ty potrzebuje żony, która go docenia, która rozumie, że człowiek na twoim stanowisku potrzebuje wsparcia, nie krytyki.

Słuchając jej, czuł coraz większy ucisk w żołądku ze stracha. Jego ciężarna żona zaginęła, i z każdą sekundą upewniał się, że ta wariatka miała z tym coś wspólnego.

- To znaczy... która zgadza się ze wszystkim, co powiem? Wolałbym kłócić się z moją żoną, niż kochać się z jakąkolwiek kobietą na tej planecie.

Wytrzeszczyła oczy i potrząsnęła głową.

- Nie kochasz jej, nie możesz jej kochać.

- Nie mam pojęcia, jakie chore fantazje snujesz, i prawdę mówiąc, nie chcę wiedzieć. Mój żołądek nie jest dość wytrzymały...

Zaszokowana tym zamierzonym okrucieństwem, zachłysnęła się.

- Moim jedynym priorytetem jest odzyskanie żony - całej i zdrowej.

- Skąd wiesz, że to twoje dziecko? - Oczywiście, w chwili, gdy te złośliwe słowa wyrwały się z jej ust, zrozumiała, że posunęła się za daleko.

- Co jej zrobiłaś?

- Nic nie zrobiłam - wybełkotała. - Nic. Kiedy tu przyszłam, ona właśnie zbierała się w drogę. Powiedziała, że ty i Alberto wybraliście się w góry na biwak. Że nie wiecie o nadciągającej burzy, a Alberto powiedział jej, że tam nie ma zasięgu.

- Ale odwołaliśmy tę wycieczkę tygodnie temu. - W chwili, gdy uświadomił sobie, że zaplanowana wycieczka do samotnej górskiej chatki - coroczny rytuał umacniania męskiej więzi - wypada na parę tygodni przed terminem porodu.

Lęk, że dziecko może wcześniej przyjść na świat, skłonił go do postanowienia, że po weekendzie będzie pracował w domu, ale Diana o tym nie wiedziała, gdyż jej nie poinformował.

Carla nadała się, wydymając usta, i odpowiedziała:

- Cóż, chyba sądziła, że jesteście w górach. - Z jej spojrzeń wywnioskował, że perspektywa zostania następną panią Bruni mocno straciła na atrakcyjności. - I była dla mnie prawie nieuprzejma.

- Nieuprzejma, kiedy nie próbowałaś jej powstrzymać?

Nawet w chwili, gdy wypowiedział to oskarżenie, wiedział, że jeśli coś stanie się Dianie i dziecku, to będzie wina jego, nie Carli.

Teraz musiał odszukać Dianę, zanim rozpęta się burza. Nie znała dokładnego położenia chaty, ale uświadomił sobie, że wiedziała, jaka droga do niej prowadzi.

Wiedziała, ponieważ przejeżdżali w pobliżu wkrótce po ślubie.

Powiedział, że droga ta prowadzi tylko do chaty, w której zatrzymywał się podczas górskich wycieczek, i że podczas deszczu grozi osunięciem ziemi. Tylko idiota wybrałby się tam bez pojazdu z napędem na cztery koła.

Ta myśl sprawiła, że krew mu zakrzepła w żyłach ze strachu.

- *Madre di Dio...* - wyszeptał. Rzucił Carli ostre spojrzenie i powiedział surowo: - Ma cię tu nie być, kiedy wrócę.

I wybiegł z pokoju.

Diana była prawie w połowie wyboistego szlaku, zanim okazało się, że jej samochód dalej nie pojedzie. Odpięła pas i przypomniała sobie komentarz Gianfranca na temat tej drogi, pojazdu z napędem na cztery koła i idiotów.

Siedziała, opierając łokcie na desce rozdzielczej, z nosem przyciśniętym do przedniej szyby, i poprzez strugi deszczu przyglądała się wielkiemu głazowi, który prawdopodobnie zsunął się z urwiska.

To nie jej plan był zły, tylko wycucie czasu. Gdyby zdołała tu dotrzeć, zanim zaczął padać deszcz, byłaby to najwyżej przyjemna przechadzka.

Rozważała opcje postępowania - wybór miała ograniczony.

Może czekać w samochodzie albo odszukać chatę. No cóż, jak daleko mogła się znajdować?

Wyłączyła silnik i surowo przykazała sobie, że dość zachowywania się jak mięczak. Odrobina mżawki nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

A może powinna zostać na miejscu? Byłoby sucho i bezpiecznie, dopóki następny solidny głaz nie spadłby z góry i nie wylądował na jej samochodziku.

Ta perspektywa sprawiła, że Diana wygramoliła się z auta tak szybko, jak pozwalała na to jej zaokrąglona sylwetka i przesunięty punkt ciężkości.

Przemokła do nitki, zanim zamknęła drzwi. Potykając się, wdrapywała się pod górę, z pochyloną głową i zaciśniętymi zębami. Myślała tylko o następnym kroku, dopóki po jakichś dziesięciu minutach tej mordegi nie okazało się, że następnego kroku nie będzie.

Droga po prostu urywała się. Odległy pogłos grzmotu sprawił, że podskoczyła. Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, dziwiąc się prymitywnemu instynktowi, który zadziałał, gdy wyobraziła sobie, że Gianfrancowi i Albertowi grozi niebezpieczeństwo.

Prawdopodobnie obaj ułożyli się do snu przed buzującym ogniem, nieświadomi, albo - co bardziej prawdopodobne - zachwyceni szalejącym na dworze żywiołem.

Och, jakbym chciała być z nimi. Zaczerpnęła tchu i powiedziała głośno:

- No cóż, nie znajdziesz ich, litując się nad sobą.

Dziecko w jej wnętrzu, jak gdyby słysząc jej słowa, kopnęło wyjątkowo mocno. Co z niej za matka, skoro naraża w ten sposób życie dziecka?

Na jej twarzy pojawił się wyraz zdecydowania.

- Ja nas wpakowałam w kłopoty, dziecinko, więc muszę nas z nich wydobyć.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gianfranco odnalazł samochód Diany. Metodycznie przeszukał jego wnętrze. Torebka żony i jej zakiet leżały na tylnym siedzeniu, klucze wciąż tkwiły w stacyjce, ale nie było żadnych oznak sugerujących, że coś się jej stało.

Burza osiągnęła swój punkt kulminacyjny, kiedy kierował się truchtem na wpół zablokowany szlak. Myślenie negatywne nie leżało nigdy w jego charakterze i nie zamierzał teraz się zmieniać. Odnajdzie ją żywą i... no cóż... udusi ją za to, co zrobiła.

Dziesięć minut później odnalazł ją całą i zdrową. Szła wyschniętym korytem rzeki. Podszedł do niej od tyłu i zawołał po imieniu, podnosząc głos, aby przekrzyczeć wiatr.

Nie słyszała jego kroków i zaczęła się szamotać, zanim go rozpoznała.

Wtedy siły ją opuściły, zaczęła płakać i powtarzać raz po raz jego imię. Zamknął oczy i wdychał zapach jej włosów. Chciał powiedzieć, ile dla niego znaczy. Miał te słowa na końcu języka, gdy unosił ku górze jej bladą, zalaną łzami twarz.

- Od chwili, gdy cię spotkałem, nie mam chwili spokoju!

Zobaczył błysk bólu w jej oczach, zanim zastąpił go gniew.

- Próbowałam was uratować. Mówiłeś, że wybierasz się z Albertem do chaty - dorzuciła obronnym tonem. - Myślałam, że zabierzesz go ze szkoły i że tu nie ma zasięgu, i przyszło mi do głowy, że jeśli się pośpieszę, zdołam dotrzeć do ciebie

przed burzą i ostrzec...

- Wskoczyłaś do samochodu i postanowiłaś nas uratować. Ile kobiet miałoby dość odwagi, by to zrobić? Jesteś w ósmym miesiącu ciąży!

- Wpadłam w panikę - przyznała żałośnie. - Z Albertem wszystko w porządku?

- Nic mu nie jest. Nie było wycieczki. Odwołałem ją całe tygodnie temu.

- Co ty...? - Głos Diany przeszedł w piskliwy krzyk protestu, gdy Gianfranco bezceremonialnie porwał ją na rękę.

- Widziałaś kiedyś nagłą powódź? - spytał, postawiwszy ją chwilę później na ziemi, za wielkim głazem, który stanowił ochronę przed wiatrem. Odwrócił ją twarzą ku sobie i nie czekając na odpowiedź, dorzucił ponuro: - Ja widziałem.

- Skąd wiedziałeś, gdzie będę?

- Carla była w domu - odpowiedział krótko.

- Bardzo się denerwowała?

Zaśmiał się dziwnie.

- Nie na tyle, by dało się to zauważyć. Twoja twarz... - Zaklął przez zaciśnięte zęby, gdy zauważył czerwoną ryse przecinającą gładki policzek. - Zraniłaś się jeszcze gdzieś?

- Nie, nic mi nie jest.

- Jak to nic? Trzęsiesz się jak listek - zauważył.

Wzruszyła ramionami, gdy zdjął z siebie kurtkę i zarzucił na nią.

- Zmarzniesz - zaprotestowała.

- Przeżyję.

- Musisz uważać mnie za skończoną idiotkę.

Subtelnie rzeźbione rysy jego twarzy zdradzały napięcie, gdy w końcu odpowiedział:

- Nie, to ja jestem skończonym idiotą. Nie możemy tu zostać. - Badawczo przyjrzał się horyzontowi. - Potrzebujemy jakiegoś schronienia.

- Nie możesz mnie nieść! - zaprotestowała.

Nie sprawiał wrażenia skłonnego do kompromisu, kiedy wziął ją na ręce, sugerując, aby się go trzymała, i dorzucił stanowczo:

- Nie możesz iść w tym stanie.

Tylko pięć minut zajęło mu odszukanie chaty. Była prymitywna: pokój z kamiennym paleniskiem w jednym końcu i pryzmami w drugim. Poza tym jedynymi meblami były drewniany stół i dwa krzesła.

Gianfranco wziął krzesło, ustawił je przed paleniskiem i skinieniem głowy dał do zrozumienia, że powinna na nim usiąść.

- To tyle, jeśli chodzi o wygody domowe, ale przynajmniej jest tu sucho.

Czekała, by minął ból w krzyżu.

- Myślisz, że burza długo potrwa?

- Kto wie?

Nie mogąc podzielać jego beztroski, przyglądała się z zaciśniętymi zębami, jak Gianfranco otwiera drewnianą skrzynię ustawioną z boku paleniska i wyjmuje z niej pudełko zapalek i wiązkę suchego drewna na rozpalkę.

- Ale czy zaraz nie zrobi się ciemno?

Urodzenie dziecka jest najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Nie to, żeby istniała taka możliwość; do porodu zostawał jeszcze miesiąc.

Gianfranco rzucił jej pytające spojrzenie, zanim przykląkł przed paleniskiem.

- Boisz się ciemności? Nie sądziłem, że możesz się czegoś bać. Nie boisz się mnie. - Uśmiezek pojawił się na jego ustach, kiedy oskarżył ją: - Od pierwszego spotkania nie przestałaś pokazywać mi, gdzie moje miejsce.

- Bez większego powodzenia - odparowała szorstko.

- To zależy od tego, gdzie jest, według ciebie, moje miejsce. - Gdyby rok temu ktoś zasugerował mu, że będzie kiedykolwiek zastanawiać się, czy ma wyznać kobiecie, że jej miejsce jest w jego sercu, zaśmiałyby się albo odesłał go do psychiatry. - Nie martw się, jest tu gdzieś latarka.



- Słuchaj - powiedziała cicho. - Bardzo mi przykro, jeśli sprawiłam ci kłopot. Odwrócił powoli głowę. Gałązka, którą miał właśnie dorzucić do ognia, zła-  
mała się między jego palcami.

- Sprawiaś mi kłopot... - powtórzył najdziwniejszym tonem, jaki słyszała. Skinęła głową i uznała, że wystarczająco długo czekał już na przeprosiny, nawet jeśli uznał je za niezadowalające.

- Wiem, że byłam prawdziwym utrapieniem. Przepraszam.

Potał zmarszczkę między brwiami i mruknął:

- *Madre di Dio!* - Potrząsając głową, zamknął oczy i przesunął dłonią po twa-  
rzy.

- Naprawdę mi przykro, Gianfranco.

Na dźwięk pełnego skruchy głosu uniósł ciężkie powieki.

- Przeżyłem dzisiaj piekło, myśląc, że leżysz gdzieś ranna i potrzebujesz mo-  
jej pomocy. Albo że stało się coś gorszego. Chętnie oddałbym własną duszę, gdy-  
bym za tę cenę odzyskał cię całą i zdrową. - Wyciągnął rękę i przycisnął drżącą  
dłoń do jej brzucha. - Ciebie i nasze dziecko - powiedział.

- Nie chciałeś mieć dziecka. I ja to rozumiem. Czułeś, że jesteś niełojalny  
wobec matki Alberta.

Błysk zdumienia pojawił się w jego oczach.

- To, co czułem do Sary, nie przypomina tego, co czuję do ciebie - odpowie-  
dział, marszcząc brwi.

- Wiem, że była miłością twojego życia i nigdy nie będę próbowała z nią ry-  
walizować.

Zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Sama do tego doszłaś? A może z czyjąś pomocą. Na przykład kuzynki  
Carli...?

- Carla nie powiedziała mi nic, co nie byłoby publiczną tajemnicą.

- Nic nie rozumiesz - odparował ostro. - Nie lubię mówić o Sarze ani naszym

małżeństwie, ponieważ to bolesne wspomnienie. Bolesne, bo nikt nie lubi odgrzebywać swoich błędów. No i trzeba mieć na względzie Alberta...

- Błędów? - powtórzyła, sądząc, że musiała się przesłyszeć.

- Nie chodzi o Alberta - zapewnił ją pospiesznie. - Chociaż, gdyby Sara postawiła na swoim, nie byłoby Alberta.

- Nie chciała dziecka?

- Przekonałem ją, żeby nie usuwała ciąży, tylko za mnie wyszła. Mogłabyś powiedzieć, że z tego powodu jestem odpowiedzialny za jej śmierć.

- O czym ty mówisz? - Dotknęła jego ramienia i wyczuła napięcie w stwardniałych mięśniach.

- Podczas ciąży u Sary rozwinęła się cukrzyca. Lekarze mówili, że to przejdzie po narodzinach dziecka.

- Ale nie przeszło?

Potrząsnął głową.

- Musiała brać zastrzyki dwa razy dziennie, nie znosiła tego. Z początku próbowali ustabilizować jej stan, przez kilka miesięcy czuła się dobrze, potem... dostała ataku hipoglikemii podczas zakupów. Ale ludzie uznali ją za pijaczkę. Zanim ktoś zorientował się, że jest chora, było już za późno. Umarła, zanim dojechała do szpitala.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Straszne, ale to nie twoja wina.

Dotąd siedział u jej stóp, teraz podniósł się i zajął miejsce obok niej, na drewnianej ławie.

- Miałem dziewiętnaście lat i zakładałem swoją pierwszą firmę, kiedy poznałem Sarę. Byłem pełen romantycznych idei i szalejących hormonów... Niebezpieczne połączenie - zauważył ironicznie.

- Kochałeś ją - zaprotestowała słabo. Uśmiechnął się szyderczo.

- Kochałem! - wykrzyknął pogardliwie. - Może są dziewiętnastolatki, które znają znaczenie tego słowa, ale nie byłem jednym z nich. Do niedawna nie wiedziałem, co ono znaczy...

Znieruchomiała z niedowierzania.

- Ty mnie kochasz...?

- Jak mógłbym cię nie kochać? - Złapał ją za ręce i trzymał, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić. - Mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz mogła mi przebaczyć... Ja sobie nie mogę wybaczyć, ale przemawiał przeze mnie mój strach. Sara umarła, bo nosiła moje dziecko. Gdybym stracił ciebie... - Odwrócił się do niej i lęk w jego oczach przeszył jej serce jak włócznia.

- Nie stracisz mnie - obiecała.

Przymknął oczy i wzdrygnął się.

- Od chwili, gdy cię zobaczyłem, zacząłem odczuwać coś, czego nie chciałem. Byłem zbyt tchórzliwy, by nawet przed sobą przyznać, że to, co czuję, jest miłością.

Łzy spływały po jej policzkach, kiedy ujęła dłońmi jego twarz i przycisnęła wargi do jego ust. Gdy odsunęli się od siebie, oboje oddychali ciężko.

- Wyniosłeś się z naszego łóżka - zarzuciła mu, na wpół ze śmiechem, na wpół z płaczem.

- Myślałem - wyznał - że tego chcesz. Próbowałem być wrażliwy. - Potrząsnął głową i skrzywił się. - To było piekło.

Zaśmiała się.

- To naprawdę nie pasuje do ciebie. Jesteś po prostu... - Urwała i skrzywiła się.

- Co się stało?

- Właściwie nic złego. Mam taką nadzieję.

- Więc...

Poklepała go po ręce.

- Nie wpadaj w panikę, ale myślę.... No, jestem prawie pewna, że zaczyna się poród.

Pogłaskał ją po głowie i powiedział pobłaźliwie:

- Nie, dziecko urodzi się nie wcześniej niż za cztery tygodnie.

- Jemu to powiedz - zaproponowała, poklepując brzuch, kiedy chwycił ją kolejny skurcz.

Gdy minął, wyprostowała się i natychmiast skierowała zaniepokojony wzrok na twarz męża.

- Dobrze się czujesz?

Ona go o to pyta? Umysł mu się rozjaśnił, ukląkł przed nią i wziął w dłonie jej drobne ręce.

- Dobrze? Będę ojcem. Jestem przerażony. - Tym słowom towarzyszył szeroki uśmiech, który chyba uznała za pokrzepiający.

- Prawdę mówiąc, ja też.

- Czy poród to taka trudna rzecz? Ludzie robią to każdego dnia.

- Nie ludzie - odparowała, udając urażoną. - Kobiety. Chcesz się zamienić?

Szczerze mówiąc, gdyby miał szansę wziąć na siebie jej ciężar, przejąć jej ból, nie zawahałby się przez chwilę. Ale ponieważ nie było takiej możliwości, musiał wykorzystać to, co mieli do dyspozycji.

- Przypuszczam, że nie ma mowy, abym mógł znieść cię do samochodu?

Potrząsnęła głową.

- W porządku. Jesteś pielęgniarką.

- Pielęgniarką, nie położną. Nigdy nie odbierałam porodu.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Ja mam pewne doświadczenie.

Jego internetowe poszukiwania ograniczały się do anormalnych porodów, więc miał nadzieję, że żadna z tych informacji nie będzie przydatna.

- Odbierałeś dziecko?

- Żrebaka, ale zasada jest taka sama - stwierdził.

Śmiech Diany był nieco wymuszony, ale wydawała się nieco bardziej odprężona.

- Może powinnam chodzić. To pomaga przyspieszyć poród.

Gianfranco nie był pewien, czy tego chce, ale zastosował się do jej sugestii. Pomógł żonie wstać i podsunął ramię, by miała się na czym oprzeć, kiedy spacerowała powoli tam i z powrotem po pokoju, zatrzymując się i oddychając, ilekroć pojawiały się skurcze.

Zaczął już myśleć, że nie wygląda to najgorzej, kiedy nagle zamiast odechnąć, wrzasnęła.

Ściągnął materace z prycz i położył je na podłodze. Posadził na nich Dianę i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu jakiegoś naczynia. We wszystkich starych filmach, które widział, zawsze gotowano wodę.

- Słuchaj, przekażę ci trochę informacji zanim...

- Dobry pomysł.

Słyszał i rozumiał mniej więcej połowę z tego, co do niego mówiła. Przepuszczał zresztą, że kiedy przyjdzie co do czego i tak większość z tego zapomni.

- Dobra, odpręż się po prostu i oszczędzaj siły.

Obserwowanie cierpień żony i świadomość, że absolutnie nic na to nie może poradzić, było najbardziej frustrującą rzeczą, jaka mu się przydarzyła.

- To już nie może trwać długo - pocieszał ją, kiedy opadła bezradnie z twarzą zlaną potem.

- Niedługo - stwierdziła gwałtownie. - Muszę przeć.

Ten etap był stosunkowo krótki. Ukazała się główka dziecka, a moment później ich córeczka ześliznęła się, ciepła, mokra i wrzeszcząca ile sił w płucach, w jego nadstawione dłonie.

- Nic jej nie jest? - krzyknęła Diana, próbując usiąść.

- Jest doskonała - wyszeptał. Pocałował Dianę, odgarnął włosy z jej wilgotnego czoła i powiedział z najgłębszą szczerością: - Jesteś niesamowita... cudowna.

Na zawsze miał zapamiętać wyraz jej twarzy - zachwyty, macierzyńską miłość w oczach - kiedy po raz pierwszy przytuliła ich dziecko.

Ledwo miał czas rozważyć następny problem - jak mają zejść na dół - kiedy otworzyły się drzwi.

Do środka wszedł sanitariusz, uśmiechnął się szeroko, oceniwszy sytuację, i powiedział:

- Niewiele mi zostało do zrobienia.

Zarzucił ich potokiem włoskich słów, których znaczenia Diana - jeszcze zdezorientowana - nie mogła wyłapać, ale Gianfranco przetłumaczył jej wszystko, gdy mężczyzna na chwilę wyszedł.

- Najwyraźniej Alberto wezwał kawalerię. Helikopter już czeka, żeby zabrać ciebie i malutką do szpitala.

Łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu, gdy przyglądała się jego twarzy, kiedy ucałował ogniste kędziorki na głowie ich córeczki.

Złapała go za rękę.

- Nie ruszę się bez ciebie.

Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy.

- Musisz, *cara mia*, ale obiecuję, że nasze rozstanie nie potrwa długo. Dopóki moja twarz tak ci się nie znudzi, że mnie wyrzucisz.

- Twoja twarz nie mogłaby mi się znudzić - zapewniła, patrząc na niego oczyma pełnymi miłości. - Kocham cię i dziękuję ci za mój cud.

- Nasz cud - poprawił ją stanowczo. - Ale chcę, żeby jedno było jasne. Jeśli będziemy mieć dość szczęścia i pojawią się nowe cuda... przynajmniej przez ostatnie dwa miesiące nie oddalisz się na więcej niż milę od szpitala.

- Co, żadnych porodów domowych? - zażartowała.

- Przy tobie uczę się, że nie należy mówić „nigdy”.

# EPILOG

Gianfranco zatopił palce we włosach.

- Nie mogę w to uwierzyć!

Kierowca zerknął na pracodawcę i skrzywił się przepaszająco.

- Najwyraźniej ciężarówka wywróciła się na skrzyżowaniu...

Sfrustrowany Gianfranco wybuchnął:

- Nie przyszło ci do głowy sprawdzić, nim wyruszyliśmy? Nie ma objazdu!

- Gianfranco, nie ma sensu krzyczeć. To nie jego wina. Przepraszam, Eduardo, nie zwracaj na niego uwagi.

Kierowca pochylił głowę z ukradkowym uśmieszkiem, nie patrząc w kierunku wybuchowego pracodawcy.

Gdy drzwi się zamknęły, Gianfranco zwrócił się ku żonie z wyrazem oburzenia na twarzy.

- A ty się nie martwisz?

Odpowiedziała mu ze spokojnym uśmiechem.

- Dlaczego miałabym się martwić? - Poklepała się po brzuchu. - Mam ze sobą doskonałą położną. Tatuś poradził sobie przy twoich narodzinach, prawda, kochanie? - zwróciła się do dziewczynki.

Valeria miała osiemnaście miesięcy. Odziedziczyła po matce ogniste włosy, oczy po ojcu, a uśmiech zawdzięczała samej sobie. Przyrodni brat stał się jej oddanym niewolnikiem, a ojca owinęła wokół pulchnego paluszka.

- To dziecko urodzi się w szpitalu, w czystej pościeli i w obecności lekarzy.

- Jeśli choć trochę przypomina swego ojca, urodzi się, gdzie zechce.

Badanie USG wykazało, że nowy przybysz jest płci męskiej.

- Och, *cara*, tak mi przykro. Chciałem, żeby tym razem wszystko było idealne po tym, co musiałaś przecierpieć...

Spojrzała z miłością w twarz męża.



- Och, Gianfranco, poprzedni raz był dla mnie idealny. Chciałabym bardzo, żebyś przestał się denerwować. Mogłam zostać w domu jeszcze wiele godzin. To bardzo wczesny etap. Równie dobrze mogę siedzieć tutaj, jak w szpitalu.

Wydawało się, że jej spokojne uwagi ułagodziły go trochę.

- I wiem, że temu dziecku nic nie grozi. Czuję to. - Wzięła jego dłoń i przycisnęła do swojego brzucha.

- Poczułaś to? - krzyknął.

Zaśmiała się.

- Trudno było nie poczuć, i to jeden z powodów, dla którego chciałam wreszcie poznać tego futbolistę.

- Myślę, że nasza rodzina jest w komplecie... Trójka dzieci wystarczy każdemu mężczyźnie. Nie chcę być zachłanny - stwierdził, potem zepsuł to świętoszkowate stwierdzenie, dorzucając z westchnieniem: - Chociaż bardzo seksownie wyglądasz w ciąży.

- Samochody ruszają.

Gianfranco wydał radosny okrzyk, a Valeria z entuzjazmem przyłączyła się, klaszcząc.

- Dzięki Bogu!

- Prawdę mówiąc, myślę, że trzeba poprosić Eduarda, aby zawrócił do domu.

- Kolejny fałszywy alarm?

Przytaknęła.

- Przepraszam.

- Wiesz - stwierdził ponuro. - Mam niejasne podejrzenie, że ten dzieciak pojawia się, gdy najmniej się będziemy tego spodziewali. Próbuje uśpić naszą czujność.

- Doprawdy, czasami potrafisz być niemądry - zauważyła pobłażliwie.

Roman Antonio urodził się o drugiej w nocy po tym, jak zdecydowali, że był to następny fałszywy alarm. Wpadł w ręce ojca, wrzeszcząc wniebogłosy.